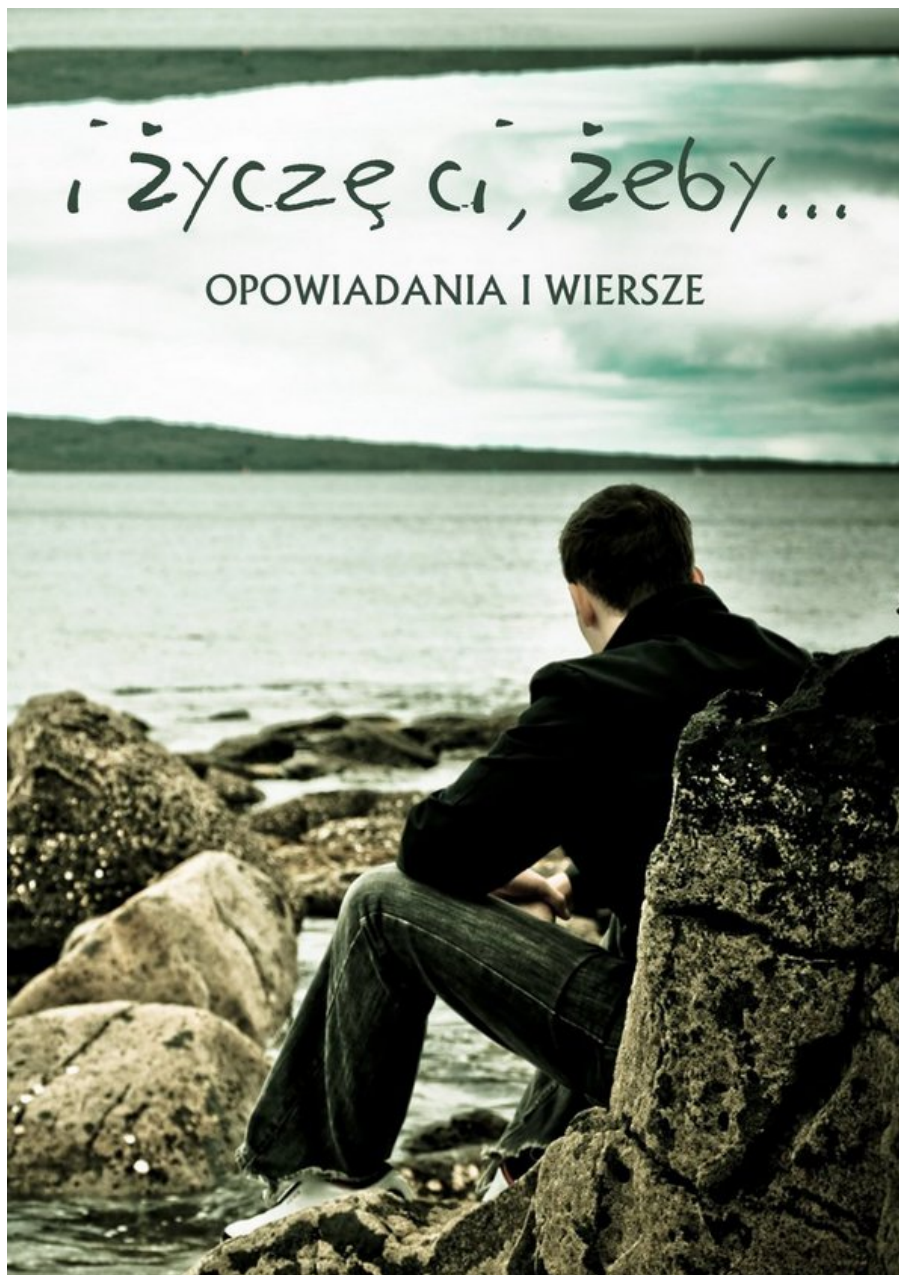


i życzę ci, żeby...

OPOWIADANIA I WIERSZE



© Copyright by My Book 2013

Niniejszy ebook jest bezpłatny, nieprzeznaczony do sprzedaży.
Wszystkie teksty zamieszczone w zbiorze "I życzę ci, żeby..." są własnością ich autorów i nie mogą być w żaden sposób rozpowszechniane bez ich zgody.

ISBN 978-83-7564-389-3

Wydawnictwo My Book
www.mybook.pl

Publikacja chroniona prawem autorskim.

Zabrania się jej kopiowania, publicznego udostępniania w Internecie
oraz odsprzedaży bez zgody Wydawcy.

i życzę ci, żeby...

OPOWIADANIA I WIERSZE



Spis treści

Przedmowa	4
Anna Pelzel Magdalena Woźniak	5
Jelenie Katarzyna Sieradzka	16
I życzę ci, żeby... Ewa Grim	20
Ewa Alf Soczyński	23
Zagubiony Wojtek81	29
Wera Chrisa Ellas	37
Dom z wieżyczką Monika Daszkowska	56
Miłość w czasach popkultury Patrycja Balcerzak	61
Bogowie Olimpu Milena Wiese	80

Anioł	
Andrzej Chodacki	100
Cezar, potomek Dropsa	
Jolanta Rawska	108
Sen o przeszłości	
Joanna Gorzka	116
Która żyje	
Jan Stanisław Jeż	117
Naga prawda o drzewach	
Beata Wołoszyn	118
Półcień	
Anna Kargol	119
Dom mojej babci	
Agata Rak	120
Rykoszet z kulą u nogi	
Piotr Paschke	121
Hosanna	
Katarzyna Mikołajczyk	125
Viola z Alei Zapomnienia	
Dawid Bartela	126
Jesteś człowiekiem	
Anna Pełka	127
Mgławica czasu	
Regina Orzechowska	129

Przedmowa

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Wasze ręce zbiór opowiadań i wierszy wyróżnionych w konkursach zorganizowanych w latach 2010-2012 przez portal literacki PubliXo.com.

Autorów tekstów zawartych w niniejszej antologii różni prawie wszystko – wiek, zainteresowania, doświadczenie życiowe. Łączy – pasja pisania i umiejętność ubrania w słowa tego, co opowiedziała im wyobraźnia.

Owa różnorodność siłą rzeczy znalazła odzwierciedlenie w utworach zawartych w niniejszej antologii. Mamy nadzieję, że w tym swoistym „patchworku literackim” każdy z Was znajdzie coś dla siebie. Życzymy miłej lektury!

Redakcja wydawnictwa My Book
i portalu literackiego PubliXo.com

Anna Pelzel

Magdalena Woźniak

Karczmarz właśnie pochował ostatniego kota w Habelschwerdzie*. Zwierzak padł, tak jak pozostałe, na koci tyfus. Teraz już nie będzie komu chronić ziarna w spichrzu, ale też jest nadzieja, że zaraza wreszcie się skończy.

Lorenz Pelzel był przystojnym mężczyzną w sile wieku, z dobrze prosperującą karczmą oraz młodą żoną Anną. Po śmierci pierwszej żony w połogu i stracie nowo narodzonego synka przez wiele lat nie chciał słyszeć o żadnych pannach ani wdowach, które podsuwano mu na żony. Zajął się rozbudową karczmy, żeby udzielać noclegu, a nie tylko wydawać posiłki i warzyć piwo.

Zatraciłby się w tej pracy całkiem, gdyby pewnej wiosny nie usłyszał radosnego śmiechu wychodzącej z kościoła Anny. Zauważył ze zdziwieniem, że świat ponownie stał się dla niego pięknym miejscem, zamieszkałym przez ponętne kobiety, których obecność nie jest mu już obojętna. Dziękował Bogu za każdy dzień, podczas którego w jego domu rozbrzmiewał śmiech ukochanej żony.

– Anno – Lorenz Pelzel trzymał w dłoniach drewnianą skrzynkę – cóż to jest?

– Kciuk. Zasuszony. Schowałam go do skrzynki, bo nie lubię, jak leży między przyborami do szycia.

– Anno, na litość boską, skąd go masz?

– Och! Pamiętasz, mój drogi, pielgrzymo? Zeszłej jesieni poprosił o nocleg. Dał mi to jako zapłatę. – Potem dodała szeptem: – Odcieł go jakiemuś złodziejowi. Ponoć ma pomóc na płodność.

*Habelschwerda, obecnie Bystrzyca Kłodzka

Lorenz zamknął szkatułkę. Minę miał nadal zmartwioną. Trudno ustalić, czy z powodu braku potomka po dwóch latach małżeństwa, czy z powodu palca. Oddał skrzynkę żonie.

– Obiecuję, że nie będziesz się chwalić tym prezentem.

Policzki Anny się zarumieniły. Właściwie to może obiecać. Wszyscy, oczywiście w tajemnicy, zdążyli zobaczyć już niecodzienny prezent. No, wszyscy oprócz Lorenza.



Anna Pelzel zmierzała stromymi schodkami w stronę rynku, a potem ku położonemu w najwyższym punkcie miasta kościołowi Świętego Michała Archanioła. Spieszyła na mszę, ale głowę zaprzątały jej sprawy wcale nie duchowe, a jak najbardziej przyziemne, domowe, a szczególnie inwazja myszy, które zaległy się w spichrzu po tym, jak zaraza wybiła koty.

Zatrzymała się u szczytu kamiennych schodków i spojrzała w dół. Czuła na plecach jego wzrok tak wyraźnie, jakby to był dotyk. Spod białego czepek mężatki wymykały się kosmyki ciemnych włosów, policzki zarumieniły się od marszu, kaftan falował od szybkiego oddechu. Jak nie podziwiać tak pięknego widoku? Przechodzący mężczyźni spoglądali na Annę, ale to nie ich wzrok poczuła na plecach.

Franz? Zimny dreszcz przebiegł po karku Anny.

A jednak nie. Ktoś całkiem inny. Inspektor Bojaźni Bożej, który od czterech lat szpiegował, zakradał się pod okna, podsłuchiwał i wwierał w duszę małymi, chytrymi oczkami. Od samego spojrzenia każdy czuł się winny naruszenia moralności. Każdy, ale nie Anna. Okręciła się na pięcie, zmiotła czarną spódnicą i już jej nie było.

Oczywiście początkowo, gdy ustanowiono urząd strażnika moralności w 1636 roku, Anna uwierzyła matce, że to z powodu zbyt głośnego śmiechu i zamiłowania do błyskotek u młodych panien powołano Inspektora. Szesnastoletnia dziewczyna odkrywała właśnie swoją kobiecość, gdy Ferdynand III Habsburg, właściciel hrabstwa kłodzkiego, został cesarzem rzymskim i postanowił rozprawić

się jak należy z heretykami oraz niemoralnym zachowaniem. Trudno powiedzieć, co było dla władcy ważniejsze. Jedni powiadali, że najbardziej chodziło o wytępienie zwolenników Kaspara Schwenkfelda oraz luteranów, inni, że o nieobyczajne zachowanie. Tak czy inaczej, na ulicach Habelschwerdy pojawiła się postać Inspektora, który miał ręce, a raczej oczy i uszy pełne roboty. Szpiegował obywateli, czy przestrzegają praw kościelnych i bożych. Zależnie od ciężaru winy, karano chłostą, napiętnowaniem lub śmiercią. Za przestępstwa mniej ciężkie, na przykład przedmałżeńskie pocałunki narzeczonych, przykuwano winnych do pręgierza, który ustawiono na Małym Rynku.

* * *

– Ktoś o was pyta, Anno. – Służąca, która sprzątała karczmę, wskazała na drzwi.

Stała w nich stara kobieta z wiklinowym koszem. Od całej postaci biła pewność siebie. To nie była niedołężna babuleńka, co przyszła po jałmużnę. Wzbudzała respekt, pomimo skromnego, gminnego odzienia.

– Wejdźcie proszę, siadajcie – zaprosiła Anna, a do służącej zawołała, żeby przyniosła piwo, mięso i chleb.

– Mam dla ciebie koty. W koszu – odrzekła przybyła.

Anna ucieszyła się. Od kiedy pomór wybił wszystkie te zwierzęta w Bystrzycy, nie było żadnego, żeby chronił zboże w spichrzu. Myszy legły się bez opamiętania. W okolicznych wioskach, jak tylko dotarła wieść o zarazie, natychmiast pochowano koty, żeby sprzedać je za niebotyczne sumy. Można się było oczywiście targować, ale kiedy myszy wyżerają resztki zapasów i dobierają się do ziarna na siew, koszty kociaka przestają wydawać się zbyt wysokie.

Podczas gdy babka jadła, Anna otworzyła kosz i uśmiechnęła się. Zobaczyła kłębowisko białych futerek w rude łaty, matkę z całym miotem. Małe, urodzone tej wiosny, ssaly z zapalem, a kotka otworzyła oczy, gdy padło na nią światło świecy. Wspaniale! Matka nie ucieknie, dopóki karmi młode, a one nauczą się, że nowe gospodarstwo to ich dom.

– Ile chcecie, babko, za koty?

– Od ciebie nie wezmę pieniędzy.

Anna uniosła brwi ze zdziwienia.

– Jest jeszcze on. – Starucha wygrzebała z kosza całkiem czarnego kociaka. – Zaopiekujesz się nim.

– Czemu on się tak różni od pozostałych?

Kobieta uśmiechnęła się i bez słowa przeżuwała chleb.

– Skąd, babko, przyszliście?

– Z Droszkowa.

Z Droszkowa? Anna w zamyśleniu wzięła czarnego kociaka na ręce. Nagle karczma znikła, a ona sama stała na kłodzkim rynku. Na jego środku. . . mój Boże! Na środku płonął stos, a razem z nim trzy kobiety. Anna stała wciśnięta w tłum, czuła żar bijący od ognia. Snopy iskier strzelały z polan, jęzory ognia lizały już nogi nieszczęśnic, ich jęki przeszły w krzyk przerażenia.

Odłożyła kociaka do kosza i widzenie umknęło. Stara kobieta przerwała jedzenie i patrzyła na Annę. Wiedziała już, że dokonała dobrego wyboru.

– Nie obawiaj się. To było sześćdziesiąt lat temu i wszystkie trzy były niewinne.

– Skąd wiesz, co ja. . . – Anna udławiła się własnymi słowami.

– To nie jest zwykły kot, który łowi myszy. Oczywiście też to robi, w końcu jest kotem, ale ma pewien dar. Podobnie jak ty.

Niczego więcej Anna nie dowiedziała się od babki, chociaż zasypywała ją pytaniami. Stara nie dała się też namówić na nocleg. Skończyła posiłek i po prostu wyszła z karczmy. Gdy Anna po krótkiej chwili wybiegła za nią, żeby chociaż dowiedzieć się, jak się kobieta nazywa, na drodze nie było już nikogo.

Kocięta wraz z kotką zaniósła do spichrza. Przygotowała im przytulny płytki kosz i nalala do miseczki mleko. Obok położyła kawałek mięsa, który zostawił jakiś gość.

– Musisz jeść, żeby karmić – powiedziała do kotki i posmutniała. Tak bardzo chciały mieć swoje własne dziecko.

– Chodź do mnie, Brudasku.

Wyjęła z kosza czarnego kocurka i ucałowała go w pyszczek. Kociak przymknął oczy i oparł główkę o jej ramię. I wtedy znów to

się stało. Zalany promieniami zachodzącego słońca spichrz znikł, a Anna nagle znalazła się na podwórzu za karczmą, w zimowy wieczór. Wybierała polana, które chciała dorzucić do ognia, gdy poczuła, że ktoś ją oblał od tyłu, jedną ręką zgniatając piersi, a drugą starając się wsunąć między nogi. Szarpnęła się i chciała krzyknąć, ale mięsista łapa zakryła jej usta.

– Cicho bądź, głupia.

Rozpoznała głos Franza, sąsiada. Anna szarpała się, ale Franz był silny. Na szczęście Lorenz wyszedł na poszukiwanie żony i wołał ją już od progu karczmy. Franz puścił Annę i skrył się w mroku za stosem drew.

Widzenie odeszło i teraz trzymając kotka, Anna przypomniła sobie to zdarzenie sprzed kilku miesięcy. Nie było to ani pierwsza, ani jedyna taka przepychanka z sąsiadem. I wiedziała, że jeśli tylko poskarży się komukolwiek, wina zostanie przypisana nie Franzowi, lecz jej, Annie. Była kobietą, czyli istotą, której nie wolno wierzyć.

– Gdybyś tak mógł pokazać mi także przyszłość – szepnęła do zwierzątka, wkładając je do koszyka.

W karczmie zebrało się wielu gości, pili piwo i słuchali opowieści gospodarza z Droszkowa. Lorenz uwijał się, nalewając piwo do wielkich kufli i roznosząc gościom. To był dobry dzień, targowy, wielu kupców zjechało do miasta, a teraz przyszło do karczmy po udanych transakcjach. Karczmarz co chwilę wpadał do kuchni i pokrzykiwał na kucharkę, żeby podawała kaszę ze skwarkami, chleb i pieczyście. Anny nie było, a przydałaby się jeszcze jedna para rąk. Gdzież ona znikła?

Rozmowa przy stołach zesła na czary i czarownice. Lorenz słuchał, o czym mówią goście, i był coraz bardziej zły. W głębi duszy bał się donosu. Mało to razy oskarżono kogoś z czystej zazdrości? A jeszcze Anna trzymała ten zasuszony kciuk i miała przekonanie, że pomoże na płodność. Opowie byle komu i kłopoty gotowe.

Gawędziarz zaczął opowiadać historię sprzed sześćdziesięciu lat, gdy Anna weszła do karczmy. Nikt nie zauważył momentu, gdy się pojawiła. Lorenz kiwnął na nią, ale nie widział go, zasłuchana w opowieść.

– Trzy kobiety posądzono o czary – ciągnął nieznajomy. – Naj-

pierw wsadzono je do beczek, aby nie miały kontaktu z ziemią. Jak wiadomo, właśnie od ziemi czarownica czerpie siłę. Po próbie wody sąd orzekł, że kobiety są winne, i spalono je na stosie, na środku kłodzkiego rynku.

– A cóż takiego uczyniły? – spytała Anna.

Gospodarz spojrział na nią uważnie, a Lorenza przeszedł dreszcz. Może to prowokacja, na którą Anna daje się nabierać? Wieczorem stanowczo rozmówi się z żoną. Jest młoda i niedoświadczona, a on niejedno widział. Jeśli będzie potrzeba, użyje swoich mężowskich praw, aby wyegzekwować posłuszeństwo.

– Jedna była wdową, miała duże gospodarstwo i dobrze sobie radziła. Chodził za nią taki jeden, ale nie chciała go za męża. To poszedł do sądu i powiedział, że ona rzuca czary.

– A pozostałe?

– Druga to była jej córka. Uznano, że została poczęta w nieczysty sposób. Była pogrobowcem. Urodziła się jakieś pół roku po śmierci ojca. A trzecia – westchnął – to była moja prababka z Jaszkowej.

Żuł chwilę chleb, popił łykiem piwa i opowiadał dalej:

– Leczyła ludzi ziołami. Ten, co chciał ożenić się z bogatą wdową, poszedł do prababki po coś na miłość. Przegoniła go. Mówiła, że leczy ciało, a nie duszę. Naprzykrzał się, więc dała mu lubczyk, ale oczywiście nie podzialał. Wdowa go nie chciała i już.

Cisza zapadła w karczmie.

– A gospodarstwo? – spytała Anna.

Lorenz stojący za ladą posłał jej spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Przeszło na własność Kościoła.

Ledwo gawędziarz wypowiedział te słowa, Lorenz szybko oznajmił, że stawia kolejkę obecnym, i zawołał Annę, żeby roznosiła kufle. W kącie zbeształ ją za zachowanie.

Gwar i śmiech wróciły do karczmy. W bieganinie między stolami gości a beczką piwa Annie zakręciło się w głowie. Upadła, rozcinając sobie dłoń. Lorenz kazał służącej zaprowadzić żonę do pokoju.

Kiedy ostatni z gości opuścił karczmę i Lorenz przyszedł do sypialni, Anna miała okład z krwawnika położony na ranie i obwiązany płótnem. Spała, co nie było jej zwyczajem, gdyż zawsze

dotąd czekała na męża, aż przyjdzie. Usiadł na brzegu łóżka i patrzył na śpiącą żonę. Poglądził czule jej włosy, pochylił się i pocałował ją w skroń. Pachniała cudownie. *Cóż z tego, że nie będziemy mieli potomka – pomyślał Lorenz. Albo jestem za stary, albo taka jest wola Boga. Mamy dobre życie i nie należy kusić losu.*

Rano Anna wstała wcześniej i zabrała się za gospodarskie prace na tyle, na ile nie przeszkadzała skaleczona dłoń. Od razu też pobiegła do swoich pupili z garnuszką mleka. Zgarnęła Brudaska na ręce, gdy tylko wygramolił się z płytkiego kosza. Znowu doznała dziwnego uczucia. Naraz ranek zamienił się w wieczór, dzwony kościelne wzywały na nabożeństwo majowe, a słońce chyliło się ku zachodowi. Anna w świątecznej sukni kręciła się po obejściu, czekając na męża, gdy nagle zza węgła karczmy wyszedł Franz. Chwycił ją i starał się pocałować. Kobiecie udało się wyrwać z jego rąk i z całej siły uderzyła go w twarz. A potem jęknęła z bólu, bo świeża rana zaogniła się.

Ból ocucił Annę, usiadła na słomie i wypuściła kotka. Nie pamiętała takiego zdarzenia. Coś tu się nie zgadzało. Po chwili ochłonęła i sięgnęła po kotka jeszcze raz. To, co ujrzała podczas wizji, nappełniło ją przerażeniem. *Już po mnie – wyszeptwała. – Jak mogłeś, obleśny dziadu! Jak mogłeś? Chwileczkę. Przecież to się dopiero zdarzy!* Anna zastanawiała się dłuższą chwilę.

Zbliżał się wieczór. Anna krzątała się po izbie. Wezwała służącą i wydała jej sekretne polecenie. Dłuższą chwilę szeptała w kącie izby, tłumacząc dziewczynie dokładnie, co powinna zrobić. Po rozmowie służka natychmiast wybiegła z karczmy w kierunku rynku, zatem Anna, przebrana już do kościoła, sama zebrała obierki do garnka i wyszła wyrzucić je na stos odpadków obok chlewika. W przedwieczornej ciszy rozległ się dźwięk dzwonu, a silne męskie ręce objęły Annę. Poczowała zapach piwa z ust Franza, gdy starał się skraść jej pocałunek. Udało się jej wysunąć z jego ramion, po czym chlasnęła go po głowie tak mocno, że zabolęła ją ręka. Franz syknął:

– Zapłacisz mi za to. – Po czym zrobił w tył zwrot i uciekł.

Następnego ranka Anna została wezwana do sądu. Wszystko odbyło się tak szybko, że zdążyła tylko powiedzieć służącej, aby

przekazała wiadomość Lorenzowi. Nawet nie zajrzała do kociaków. Zaprowadzono ją do sądu miejskiego i postawiono przed najwyższymi urzędnikami. Z boku, przy stoliku zasiadł protokolant.

Sędzia odczytał oskarżenie wniesione przez Franza, jakoby Anna była czarownicą i jako różdżki używała zasuszonego kciuka. Sędzia zapytał, czy oskarżona przyznaje się do winy.

– Jestem niewinna – odparła Anna. – Nie uprawiam czarów.

– A zasuszony kciuk do czego jest ci potrzebny?

– Na pewno nie do tego, co twierdzi Franz.

W końcu Anna wyjaśniła, skąd ma ten przedmiot i czego się po nim spodziewała. Sędzia nadal nie był pewien jej niewinności i zaczął rozważać, czy nie wysłać jej na badania, jak określano wówczas tortury.

– Dlaczegoż to szanowany obywatel miałby kłamać przeciwko swojej sąsiadce i żonie przyjaciela, gdyby nie była to prawda? – zapytał sędzia, a protokolant skrobał gęsim piórem po papierze, zapisując każde słowo.

Wtedy Anna wciągnęła głęboko powietrze i oznajmiła, że chce coś jeszcze dodać.

– Proszę wezwać Inspektora Bojaźni Bożej – powiedziała donośnym, pewnym siebie głosem. – Po to stoi na straży moralności, żeby wiedzieć, że jestem niewinna.

Posłano zatem po Inspektora. Sędzia wstał i konferował z nim w drugim końcu sali, a mówili tak cicho, że niczego nie można było usłyszeć. Anna widziała tylko uniesione ze zdziwienia brwi Inspektora.

– Tak, hm. – Sędzia zasiadł z powrotem przy stole. – Nie może być tak, że obywatel przechowuje w domu zasuszony palec złodziejki i powoduje zamieszanie wśród bogobojnych ludzi.

Po czym nakazał posłać po szkatułkę z kciukiem.

Następnego dnia na Małym Rynku komisyjnie spalono zawartość skrzynki, odnotowując wszystko szczegółowo w protokole. Annę uznano za niewinną i wręczono jej dokument poświadczający oczyszczenie z zarzutu o czary. Franza pouczono, że jeśli jeszcze raz Inspektor zobaczy, jak naprzykrza się Annie, to dostanie karę pręgierza.

Od tego dnia czarny kociak sypiał w pokoju swojej pani. Ponadto Anna kazała spakować trochę chleba, mąki, jaj, garnek gęsiego smalcu i dzban piwa oraz zaprząć do wozu. Pojechała do Droszkowa, odszukać starą kobietę. Brudasek spał na jej kolanach podczas podróży. Wypytywała ludzi o babkę, aż dowiedziała się, że nazywają ją Janową i mieszka w marnej chatce na skraju wsi. Kazała parobkowi wnieść kosz z jedzeniem do środka, a potem czekać na zewnątrz, koło konia.

Babka spokojnie patrzyła na wóz, który zajechał, chłopaka z koszem i Annę wydającą polecenia. Kiwnęła głową, wskazując miejsce na drewnianej ławie. *Młoda jest, ale ma charakter* – pomyślała. *I wie, czym jest wdzięczność.*

Anna przysunęła się bliżej, żeby opowiedzieć o procesie i gospodarzu, który wspominał starą historię spalenia czarownic. Stara kiwała głową i uśmiechała się. Nie usłyszała niczego, o czym by wcześniej nie wiedziała.

– Nie obawiaj się, dziecko. To były niewinne kobiety. Jeszcze nigdy żadna czarownica nie spłonęła na stosie – zarechotała.

Patrzyła na to piękne dziewczę i w smutnej twarzy widziała tęsknotę, a nawet prośbę. *Cóż, skoro mogę pomóc?* – pomyślała. Jednocześnie wiedziała, że ma już bardzo mało sił.

– Powiadasz, że nie macie dzieci?

Anna potwierdziła ruchem głowy. Oczy zaszkliły się i pociągnęła nosem.

– Pokaż, zobaczę, co się dzieje. – Babka położyła rękę na brzuchu Anny i przytknęła oczy. – Masz problem, ale może coś zaradzimy.

Po dłonią poczuła chłód. Zawsze takie odczucie wywoływały w niej chore miejsca. Były zimne i domagały się ciepła. I ona im to ciepło dawała, a wtedy były uleczone.

Kiedy Janowa poczuła mrowienie w dłoni, uśmiechnęła się lekko. Oznaczało to, że fluidy, które leczą, zaczęły przepływać do chorego brzucha Anny. Trwało to długo, zbyt długo jak na wątłe siły starej kobiety. Wytrzymała jednak tyle czasu, ile powinna, a potem uniosła dłoń i ujęła w nią drobne, zgrabne palce Anny. Kobieta instynktownie nakryła drugą dłonią pomarszczoną rękę

babki. Janowa zebrała w sobie porcję energii i ponownie skierowała ku Annie.

Po chwili dłużej jak dwa pacierze zabrała ręce i wyszeptała:

– Dzisiaj kładź się ze swoim mężem, a poczniesz dziecko. A teraz już jedź, bo muszę odpocząć.

Babka tak długo patrzyła za odjeżdżającym wozem, aż znikł jej na horyzoncie. Ileż to lat temu była podobnie młoda i piękna? *Szkoda, że nie mogę czarami przywrócić młodości. Albo chociaż sił* – westchnęła i pocłapała do izby. Czuła, że widziała Annę po raz ostatni. Nadchodził kres jej dni.

Inspektor szedł na wieczorny obchód, gdy usłyszał turkot wozu i stukot końskich kopyt. Spojrzał na drogę i z przyjemnością stwierdził, że obok parobka na wozie siedzi Anna. Piękna, wyprostowana, z rumieńcami na policzkach. Przypomnił sobie, że ze dwie niedziele temu, również wieczorem, spotkał służącą z karczmy. Biegła na majówkę, ale zatrzymała się, żeby się zwierzyć ze swoich obaw co do sąsiada.

Franz rymarz? – Inspektor nie chciał wierzyć. – *Jeden z najbardziej szanowanych obywateli?*

Kiedy służka oddaliła się, popędził co sił w kierunku domu Franza. Właściwie chciał go ostrzec, że ktoś knuje spisek, bo żadną miarą nie wierzył w brednie, które usłyszał. Żeby dotrzeć do domu rymarza, Inspektor musiał przejść koło karczmy. Z nawyku szedł cicho, opłótkami, można powiedzieć, że skradał się. W ciszy wieczoru rozległ się nad miastem czysty dźwięk dzwonu, wzywającego na nabożeństwo. Na podwórzu za karczmą Inspektor zobaczył ruch. Zatrzymał się i rozchylił gałęzie tarniny, która rosła za płotem. Zaklął niestosownie do piastowanego urzędu, gdy ostre ciernie zerwały mu czapkę z głowy, ale nie szukał jej, ciekawy, co się wydarzy. Po chwili zdał sobie sprawę z tego, że Franz obmacuje obłesnie Annę i usiłuje ją pocałować. Zwinna dziewczyna wysunęła się z jego uścisku, gdy starał się ją obrócić, i spoliczkowała napastnika. Rękę miała owiniętą płótnem.

Inspektor wycofał się chyłkiem. Miał nadzieję, że na tym historia się skończy, a on opowie ją kiedyś Franzowi, gdy jego dług za usługi rymarskie znacząco urośnie. Właściwie to ktoś mógł-

by zapytać, czemu nie wszczął dochodzenia w tej sprawie, ale któż mógłby być tą osobą? Nikt poza nim nie widział wydarzenia, a któż uwierzyłby Annie?

Rankiem następnego dnia wezwano go do sądu.

– Anna twierdzi, że Franz jej się wiele razy naprzykrzał i oskarżył ją z zemsty. To ona kazała wezwać ciebie, żebyś poświadczył, że jest niewinna.

– A skąd ja mam wiedzieć...

– Wczoraj wysłała do ciebie służącą z informacją na ten temat – przerwał mu w pół słowa sędzia. – A także twierdzi, że widziała ciebie w krzakach na tyłach karczmy, gdy szarpała się z Franzem. Dopiero gdy ochłonęła, zrozumiała, że dziwny przedmiot, który błyszczał pomiędzy gałęziami, to była twoja... łysina.

Inspektor odgonił od siebie wspomnienia i zaczął rozmyślać, skąd weźmie pieniądze na zapłatę dla rymarza.

Jelenie

Katarzyna Sieradzka

Był środek nocy, a polowanie jak dotąd można było zaliczyć do niezwykle udanych – żadna zwierzyna nie zakłóciła wspaniałego spokoju, sprzyjającego zacieśnianiu przyjacielskiej atmosfery. Dwóch myśliwych lekko chwiejnym krokiem zmierzało w stronę strażnicy, zachowując się o wiele za głośno, niż na myśliwych przystało. Jeden czekał miarowo, drugi człapał niezgrabnie w za dużych walonkach, kłaskających raz po raz w kałużach błota. Tereny podmokłe, nie ma co. Żab zatrzęsienie, dzików jak na lekarstwo. A to dziwne, bo dziki być powinny. Tuż za polaną majaczyło pole kukurydzy. Te skubane świny w zeszłym roku zeżarły chyba z pół hektara. Dzisiaj z cierpliwością chorego myśliwi wysłuchali żalów właściciela pola, który zanim ich pożegnał, dokładnie opisał, co z czego powinni dzikom powyrywać i gdzie im powinni strzelby włożyć. Wzięli sobie te polecenia do serca, ale pech chciał, że dzików brak. Wczłapali niezdarnie na strażnicę, zadowoleni, jakby na tym właśnie polegało polowanie.

– Józwa... – zaczął ten wyższy i przystojniejszy – zimno mi.

Józwa roześmiał się rubasznie, jakby tylko czekał na hasło, i wyciągnął ze skórzanej myśliwskiej torby butelkę bez etykiety. Koledze najwyraźniej zrobiło się ciepłej, bo ochoczo przysiadł się bliżej. Polowania, rzecz święta – wiadomo, pić nie wolno. Ale dzisiaj było wyjątkowo zimno. A noc długa... Ktoś dziki odstrzeliwać musi, a czas leci szybciej, gdy to coś się przygryzie, to coś lyknie – czy ciepłego, czy rozgrzewającego w inny sposób. W każdym razie obaj mieli tyle rozsądku, by zostawić strzelby bezpiecznie oparte o brzeg ścianki i by miast wystawiać własną podzielność uwagi na próbę, skupić się na jednej rzeczy. W tej chwili szklaneczka była priorytetem.

– Eustachy, ja cię tak kocham – wyznał ten przysadzisty, zdradzając jednocześnie lepiej niż najlepszy alkomat, że spożywany trunk oprócz funkcji rozgrzewającej miał parę innych. . . mocnych cech.

Stachu nie odpowiedział, bo właśnie coś przykuło jego uwagę.

– Józwa! Jeleń!

– Jo! Pierdolisz!? – Józwa zerwał się jak na dźwięk komendy „bacznosc”. Jedną ręką poprawił czapę, a drugą przyłożył do oczu oblepioną meshkami lornetkę. Wiele nie wypatrzył, ale co jak co, jelenia nie sposób z niczym innym pomylić.

– Jaaa. . . Jeleń! – bardziej wyraził dziecięcy zachwyt, niż potwierdził. – Co teraz?

– Jak to co? Strzelaj! Albo nie! Poczekaj. . . Lepiej ja strzelę!

– Z mojej Miry!? Ani się waż!

– Puszczaj! Ty już naładowałeś, ja nie mam naboju pod ręką!

– Z mojej Miry!!!? Ani się waż!

– Cicho, bo spłoszysz!. . . Józek, puść, ja dam se lepiej radę. Patrz, patrz! Wraca w las.

Józek się uspokoił, nie było czasu na potyczki o broń. Eustachy z największą precyzją, na jaką było go stać w tym momencie, wymierzył i strzelił. Bach! Bach!

– Zwierzok padł – zauważył Józek nieco naburmuszony.

– Patrz, jakie mam oko, Józek! Z takiej odległości jelenia żem trafił!

– Oko!? Stachu! To nie twoje oko! To moja Mira! Ona nie do końca sprawna jest, cosik w prawo zbacza. Inaczej gównem byś ustrzelił!

– Ja ci dam gównem! To ty masz gównianą broń, jak na prawo znosi! A moje oko takie wprawne, że nawet wie, jak celować, gdy strzelba trefna!

– Uch, ty!

– A tknij mnie ino, chłopie, to ani krztyny z jelenia nie dostaniesz! Całą zimę żreć go będę, a ci nawet kęsa nie dam!

Józek zastanowił się chwilę i cofnął wymierzoną pięść. Otrzeptał kurtkę, jakby była taka potrzeba, i odezwał się w końcu:

– Bierz latarkę! Idziemy zobaczyć jelenia!

Eustachy wyciągnął z torby ciężką wojskową latarkę i dwoma

susami zszedł ze strażnicy. Józek zaraz za nim. Nie odzywali się po drodze – Józek zły, Stachu rozanielony. I nikt nie otworzył ust zrazu także wtedy, gdy doszli na miejsce. Stanęli nad martwym zwierzem, poświęcili mu po łbie, po oczach, po kopytach, po ogonie i grzywie. No właśnie... Po ogonie i grzywie...

– Stachu, tyś zabił konia!

– Co? Ja żem zabił!? To twoja strzelba na prawo znosi ponoć! Jakby sprawna była, to byśmy nic nie zastrzelili!

– Jakie byśma!? Jakie byśma!? Ty żeś zastrzelił! Ja się ino patrzył!

– Ale twoją strzelbą, Józwa! Wina po polowie!

– Jelenia sam chciał zeżreć, a winą się po polowie dzieli! Ładny mi przyjacieli! Patrzcie tylko!

Stachu przykucnął przy koniu i myślał ciężko. W końcu podrapał się po głowie i rzekł do Józwy:

– Ten koń, to musi Marciniaka być, co my dzisiaj z nim gadali. Nigdzie tu w okolicy nikt inny stajni nie ma. Taki ładny, kary, zadbany, odżywiony. Musi jego być. A on nas widział, jak żeśmy na polowanie szli. I będzie wiedział, kto ustrzelił. I będziem płacić, Józwa!

– A czemu „my”, a nie „ty”? Hę!?

– Bo obu nas widział, a nie mnie ino! Od obu będzie chciał pieniędzy za szkodę!

– Jaką szkodę!? Jak kto konia samopas po nocy puszcza, to niech się liczy, że konikowi i krzywda stać się może, że wilki jakie albo niedźwiedzie...

– Ty się w łeb puknij, Józwa! Wilki i niedźwiedzie w naszych lasach... A to jego łąka jest! To i konika mógł se na niej wypasać.

– Wypasać konia!? Też mi coś! Owsem karmić zwierzaka, a nie byle zieleciem!

– Pomożesz mi czy nie!?

– A w czym ja mam ci znowu pomóc. Strzelbę użyczyć?! Cobyś sobie w łeb palnął z rozpaczyl!?

– Nie pieprz, tylko pomóż, do cholery! W bagażniku mojego opła jest szpadel. Masz kluczyki i przynieś go. Zakopiemy skurczybyka.

– A ty co? Pilnować będziesz, żeby nie uciekł!?

– Ja wymyślę, gdzie by go zakopać, żeby najłatwiej ukryć było. No leć wreszcie!

Józwa wystrzelił jak z procy i przyniósł w końcu ze sobą szpadel jak się patrzy. Ale szpadel był jeden, a ich dwójka. Kopali więc na zmianę, to jeden, to drugi. Koń był wielgachny, a im skończyła się gorzalka, co negatywnie wpłynęło na morale. W końcu po dwóch godzinach mordęgi jednym szpadlem wykopali dół na tyle szeroki i głęboki, by konia pomieścić.

Zaczynało już świtać, gdy umorusani wracali na strażnicę po resztę manatków. Usiedli, na chwilę tylko, ale wymęczeni kopaniem posnęli jak dzieci i jedynie tyły ich głów ponad drewnianą ściankę strażnicy wystawały. Obudziło ich parę godzin później głośne nawoływanie.

– Panowie! – krzyczał ktoś z dołu. – Panowie! To wy żeście dziś w nocy strzelali?

Eustachy oprzytomniał natychmiast, zanim jeszcze Józek zdążył otworzyć oko. Pod strażnicą stał rolnik Marciniak.

– Nieee! Pewnie, że nie my!

– A nie polowaliście dziś w nocy?

– A, panie... Takie polowanie, że ani ptaszka żeśmy nie ubili.

– To dziwne...

– A co w tym takiego dziwnego? – Stachu czuł, jak włoski stają mu na karku. Świadomie drażnił lwa...

– Bo chyba nikt prócz was dzisiaj nie polował, a tam na polanie zastrzelony jeleni leży. Świeży taki, jakby dziś w nocy był zabity. Ale jak wyście nie strzelali, to pewnie kto inny go ubił. No to do widzenia panom myśliwym!

Rolnik odwrócił się, zostawiając ogłupionych myśliwych, wpatrzonych w jego plecy. Uszedł kilka kroków i jeszcze raz spojrzał na strażnicę.

– A, jeszcze jedno! Nie widzieliście, jak ktoś stąd martwego konia wynosił? Bo zdechł mi wczoraj wieczorem na polanie, biedaczysko. Kary taki... Tutaj gdzieś go zostawiłem, już z zakładu po niego jadą, a nie mogę go znaleźć...

I życzę ci, żeby...

Ewa Grim

- Kochasz mnie?
- Tak.
- A za co mnie kochasz?
- Za to, że jesteś śmieszny.
- Tylko za to? Nie wierzę. A jak będę gruby i łysy?
- Jak będziesz gruby i łysy, to zastanowię się, czy jesteś śmieszny!



Złote kosmyki włosów oplatają poduszkę. Powieki delikatnie drgają. Śpi spokojnie. Śni beztrosko. Dotykam pod kołdrą jej gładkiej, wygrzanej dłoni. Zaraz się przebudzi i przywita mnie uśmiechem. Otulona snem, w półmroku jesiennego poranka pójdzie do kuchni. Dom wypełni zapach kawy zbożowej.

Co dzisiaj na śniadanie? No dobrze, już nie przeszkadzam. Patrzę tylko. Jest taka piękna. Nie zmieniła się od ślubu, choć minęło już prawie dziewięć lat. Nie pamiętam, jak się czułem podczas przysięgi, chociaż Bóg mi świadkiem, że próbowałem zapamiętać tamtą chwilę. Z tego dnia najwyraźniej pamiętam ten moment, kiedy na wesele dostarczono nie ten tort, który zamówiliśmy. Miał być cytrynowy, a przywieźli wiśniowy. Dobile. Siedzieliśmy sobie na zapleczu restauracyjnej kuchni. Ona we łzach, pod strugami spływającego makijażu, a ja taki zwyczajnie szczęśliwy. Podawałem mojej żonie jedną chusteczkę za drugą i pilnowałem, żeby welon się nie pogniótł. Wyglądała wspaniale. Równie wspaniale wygląda teraz w wyciągniętej piżamie, chociaż mi nie wierzy.

Nakrywa do śniadania z największą dbałością o szczegóły. Prawdziwy rytuał. Stuka porcelana i sztućce. Talerz półtora centymetra od krawędzi stołu. Dopieszcza szczegóły. Cukiernica, mlecznik, jeszcze serwetki. Nie wolno mi się w to mieszać, bo coś zepsuję.

Sobotnie śniadanie. Przyjęcie dla dwojga. Zaraz będziemy łapczywie zajadać się grzankami z miodem i pieczoną gruszką z orzechami. Zaplątani w szlafroki, będziemy rozmawiać. Będziemy drażnić kota, dopóki się nie obrazi i nie schowa za kanapą. Będzie go przepraszać. Cmokać, głaskać, tulić. Będziemy się śmiać. Tak do południa, bo dokąd mielibyśmy się spieszyć? Co miało by być ważniejszego niż te nasze chwile? I tak zawsze za krótkie. W tygodniu pośpiesznie mijamy się w drzwiach. Miłego dnia, kochanie! Chwytam jej zapach, zapamiętuję pieszczotliwe muśnięcie ust. Już tęsknię.

W tle jakieś jazzowe brzdąkanie. Jakkolwiek uzdolniony jest pianista i cokolwiek kompozytor miał na myśli, mnie nie interesuje, słucham tylko jej. Ten jej szef to prawdziwy idiota. Że też taki się uchował. Powinna zmienić pracę.

Teraz ona słucha. Jak może być tak zainteresowana tymi moimi głupotami? Stary, skończ już gadać o tłumiku! A ona słucha. Jej spojrzenie wciąga mnie w głębię błękitu i kołysze na falach bezkresnego szczęścia. Chcę tak trwać, zatracić się w tym szczęściu bezgranicznie. Beznadziejnie. Bez końca. Kocham cię, wiesz?

Śniadanie skończone. Patrzę, jak przechadza się po domu niemalże tanecznym krokiem. Od niechcienia zmysłowa. Poprawia firankę. Odwraca się i uśmiecha. Tak po prostu. Tak niezwykle. Tylko dla mnie. Wracamy do łóżka? Chodź! Wspomnienia mkną jak film. To mój ulubiony fragment. W kółko cofam i powtarzam.



Życzę ci, żebyś się nigdy nie zakochał. W szafie zostawiła tylko tę zieloną marynarkę, którą dostała od siostry na urodziny i której tak nie lubiła. W jednym miejscu, w garderobie czuć jeszcze jej zapach. Łazienka wydaje się taka pusta bez tych wszystkich kosmetyków. Z komody zniknęła sterta torebek i szaliki. I teraz muszę

pilnować już dwóch kompletów kluczy. Szczęśliwy traci czujność. Głupi. Nadal zadaje sobie pytanie, kiedy popełniłem błąd. Nie wiem, czy odpowiedź coś zmieni, nie wiem, czy w ogóle jest mi potrzebna. Być może nie chodzi o odpowiedź, ale właściwe pytanie. Co zrobiłem źle? I kiedy patrzę na filiżankę, którą postawiła przy zlewie przed wyjściem, tylko jedno przychodzi mi do głowy. Widocznie byłem mało śmieszny.

Ewa

Alf Soczyński

Pomorze, kwiecień 1963

Na początku tamtej wiosny przez kilka dni ładowali do wagonów podstawionych na bocznicę kolejowej wszystko, czego mógł potrzebować na drugim końcu Polski cały batalion wojska. Jak niewymownie słodkie było lenistwo utrudzonych tymi wszystkimi drobiazgowymi przygotowaniami żołnierzy podczas długiej podróży z Pomorza w kierunku Dolnego Śląska. Mijali po drodze znajome ptaki, wracające do swoich gniazd na północ, podczas gdy oni ciągnęli całym eszelonem w stronę południa, w kierunku jesiennej wędrówki ptaków do ciepła. W czasie podróży Olgierd wpadł w jakąś zadumę, a ponadto schowany na górze piętrowej pryczy, miał dużo czasu i nastrój, aby rozmyślać...

Tylko z okien wagonu oglądał nocny Wrocław. *Jestem wreszcie w ponurym i strasznym Festung Breslau*. Jak podczas wojennej wędrówki z czasu dzieciństwa, znów przypominała mu się Marysia, pierwsza, pięcioletnia miłość. Pokochał ją, gdyż była podobna do zabitej przez banderowców Marysi z Dubna. Bardzo chciała, aby podarował jej tęczowego drewnianego ptaszka, którego dostał od żołnierza z czerwoną gwiazdką na furazerce za kawałek słoniny. Mały Oluś nie nacieszył się nim jeszcze i było mu szkoda jedynej zabawki, którą miał, ale było mu też żal Marysi. Kiedy więc obiecała mu, że pójdzie za nim wszędzie, nawet na koniec świata, ustąpił. Ale ona nie dotrzymała swojej obietnicy, o czym długo pamiętał.

Wszedł bardzo szybko w monotony rytm poligonowej służby.

Urozmaicała ją codzienna kąpiel w położonym wśród gór zalewie, nad którym rozbili obóz, sobotnie zabawy w pachnących sadami wsiach oraz wędrówki na piwo, na drugą stronę zalewu.

Wrocław, lipiec 1963

Którejś niedzieli po całonocnej zabawie na przepustce we Wrocławiu o brzasku był tak zmęczony, że bez namysłu wsiadł do stojącego przy chodniku autobusu i natychmiast zasnął. Gdy zaczął wracać na powierzchnię z głębokiej studni snu, uświadomił sobie, że jest w jakiejś podróży. Słyszał buczenie silnika i czuł łagodne kołysanie pojazdu, a w pewnej chwili posłyszał jakże wdzięczny szczebiot. Kiedy otworzył oczy, spotkał utkwione w siebie kilkanaście par roześmianych oczu i teraz już całkiem się przebudził. Przyglądając się ubiorowi kobiet i dziewcząt oraz trzymanym przez nie w rękach koszyczkom, uświadomił sobie, że oto dziewczyny, bez pytania go o zdanie, pozwoliły sobie pół żartem, pół serio zabrać śpiącego żołnierza na grzyby. Przekomarzały się z nim oraz częstowały kanapkami i owocami.

Wreszcie zatrzymali się w położonej w górach zagrodzie. Z góralskiej chaty wyszła do nich roześmiana, wysoka dziewczyna o okrągłej, rumianej twarzy, z długimi, czarnymi warkoczami.

Popatrzył na nią i natychmiast na obraz z tej chwili nałożył się obraz drugi.

Pomorze, październik 1953

Cała klasa uczniów liceum w Chełmży wraca z pracy przy wykopkach ziemniaków w pobliskim pegeerze. Rura wydechowa traktora Ursus z rytmicznym trzaskiem wyrzuca w powietrze strumienie spalin, strząsając z przydrożnych drzew żółknące liście. Zmierzcha się. Część klasy siedzi na drewnianych ławkach, część stoi. Oni z Ewą stoją naprzeciwko siebie. Wydało mu się, że Ewa specjalnie wybrała miejsce przy nim. On od dawna o tym marzył. Jeszcze nigdy nie był tak blisko przy niej. Chce mu się tak bardzo ją przytulić, szepnąć do ucha: „kocham ciebie jak szalony”, pocałować.

Jedyna okazja, a tu patrzy cała klasa. Więc tylko wzrokiem szuka jej oczu, ust, policzków, warkoczy, którymi ona tak dumnie potrząsa. Serce mu bije jak u wystraszonego zająca. Chciałby jej powiedzieć, co czuje, i nie wie jak. Coś w jego oczach musiało ją zaniepokoić, gdyż odwróciła głowę. Ktoś krzyknął:

– Zakochana para!

Rozległ się ze wszystkich stron, jak smagnięcie biczem, ironiczny śmiech.

– Ty kmiotku! – krzyknęła Ewa i uderzyła go w twarz. Poczuł, że chciałby natychmiast umrzeć, aby nie nosić takiej hańby.

– Co się śmiejecie! Nie jesteście lepsi! Widzę przecież, chłopaki, jak cały czas lypiecie za nią gałami! – krzyknął. – A wy, dziewczyny, zazdrościcie jej powodzenia!

Ewa od tej pory wyraźnie go unikała. Cierpiał i czekał, aż jej przejdzie. Zaś za kilka miesięcy dowiedział się, że przeniosła się na drugi koniec Polski, gdzieś za Wrocław, i od tej pory ślad po niej zaginął.

Karkonosze, lipiec 1963

Czy Ewa mnie rozpozna? – przemknęło mu przez myśl, gdy poczuł utkwione w siebie bystre i wesołe spojrzenie. I te niezapomniane dolki po obydwu stronach policzków. W jej oczach rozbłyśły ciepłe ogniki.

– Przecież to nie możesz być ty! – zawołała. – Olgierd, co ty tu robisz?

– Przyjechałem w góry na grzyby.

– Czy ty wiesz, że napisałam do ciebie na adres szkoły i internatu w Chełmży kilka listów, podawałam swój adres... Pamiętasz, jak wracaliśmy z wykopków ziemniaków w pegeerze, stojąc na przyczepie ursusa?

– Przypomnij sobie, co mi wtedy powiedziałas i co zrobiłaś, że śmiała się potem ze mnie cała klasa.

– Patrząc na mnie, robiłeś na oczach całej klasy tak maślane oczy, więc żeby nie śmieli się ze mnie, musiałam jakoś zareagować. Przecież byliśmy wtedy dziećmi – dodała, nad czymś myśląc.

– Ale ty wiesz, jak mnie wtedy zabolęła twoja reakcja i kpiny klasy?

– Pan żołnierz już nie z nami na grzyby? – pytały dziewczyny z autokaru, zbierając się jedna za drugą w drogę do lasu. Lecz do Ewy i Olgierda już nie docierały ich słowa.

Kiedy zostali sami na podwórzu, Olgierd zdał sobie sprawę z tego, że cisza, która teraz pomiędzy nimi zapadła, jest jakaś inna, tak ciemna i tajemnicza, że niepodobna do niczego, co dotąd znał. Wszli do pustej izby i Olgierd pomyślał, że pierwszy raz znalazł się w prawdziwej góralskiej chałupie. I do tego ona, Ewa, jakże piękna pośród tych drewnianych rzeźbionych oraz plecionych i haftowanych cudeniek.

– Jakbym trafił do raju. – Zawstydził się banalności tego porównania.

– Co u ciebie, opowiadaj – zagadnęła, nastawiając wodę na herbatę.

– Co u mnie, to widać – powiedział wymijająco, pokazując na swój mundur. – Najpierw ty może opowiedz. . .

– Co u mnie, też widać – zaśmiała się.

Pili herbatę, milcząc i nawzajem wpatrując się w swoje twarze, na których bez ich woli zaczęło wkrótce malować się coś, co ktoś z zewnątrz określiłby jako wzajemne radosne zauroczenie. Świat jakby przestał dla nich w tej chwili istnieć. . .

– Chodźmy do ogrodu – powiedziała, kiedy skończyli pić.

Wstawali od stołu, już jakby połączeni jakąś tajemną siłą i nie zdając sobie sprawy z tego, co się stało, zaczęli się całować. Cały czas całując się i tuląc do siebie, wychodzili w kierunku, który nadawała Ewa, a on się temu poddawał. Znaleźli się w pewnej chwili pośrodku ogrodu sami, otoczeni roślinnością, wtopieni w kryształ gór jak na bezludnej wyspie. Przyniosła po chwili koc i śnieżnobiałe prześcieradło, które rozścieliła na grubym, miękkim dywanie traw. Otuleni z wszystkich stron gęstym żywopłotem otaczającym ogród i promieniami słońca, leżeli, przypatrując się widniejącym w oddali szczytom Karkonoszy, to znów wpatrując się w siebie.

– Ach, jakie życie jest chwilami piękne – westchnął w pewnej

chwili Olgierd i było to jedyne zdanie, jakie padło w ogrodzie tego przedpołudnia.

Po obiedzie znowu przenieśli się do ogrodu i zostali tam do późna w nocy, cały czas milcząc, urzeczeni sobą, przepływającymi minutami, przyglądającymi się im chmurami i szczytami gór, gwiazdami, ciemnymi konturami drzew. Późną nocą Ewa odwiozła go motocyklem do żołnierskiego obozu.

Nic o sobie nie dowiedzieli się w ciągu całego tygodnia, który pozostał do wyjazdu Olgierda z poligonu. Ewa codziennie po południu przyjeżdżała swoją wuefemką do obozu. Potem udawali się nad zalew na tak długo, że wracała do domu późną nocą. Była wciąż milcząco i ciepło bliska. Ciepłe noce otaczały ich oboje i zachwycaly jak niezmierzone morze. Gdy ona swoje szczęście z tamtych chwil wyrażała milcząco, Olgierd, puszczając wodze wspomnieniom i swojej wyobraźni, opowiadał jej całymi godzinami o Wołyniu, Wikingach, Mongołach i dziadku Ado. Próbował w tle tych opowieści umieścić ich oboje, połączonych zagadką sensu życia i istnienia świata. Wyczuwała przebijającą przez te opowieści i powracającą wciąż jego tęsknotę za ciepłym Morzem Czarnym oraz za kresowym i mongolskim stepem, których dotąd nigdy nie widział. Znał je tylko z opowieści dziadka i ojca.

W dniu wyjazdu Olgierda Ewa stała na nasypie kolejowym. Jej odpływająca sylwetka robiła się coraz to mniejsza, aż zamieniła się w zanikający punkcik. Żegnała go oczyma bardzo długo, wreszcie znikła na końcu widnokregu. Wierzył, że się jeszcze kiedyś spotkają.

Pamiętaj – powtarzał sobie w myśli jej słowa – nigdy nie mo-
żesz mnie tutaj w górach odwiedzić ani do mnie pisać, chyba że
dam ci znak...

Wrocław, kwiecień 1990

Minęło dwadzieścia siedem lat. Olgierd, budując czasami na
wyspach snów albo wspomnień swój kryształowy pałac, chwilami
jakby znajdował się w labiryncie, w którym poszukiwał Ewy. Wy-
czuwał nieraz jej obecność w jednej z najbardziej zagadkowych,

niemożliwych do odnalezienia komnat. Lecz nigdy jej już nie spotkał naprawdę.

Któregoś dnia otrzymał list od Tomka. Dowiedział się, że Ewa dopiero w dniu, w którym umierała na nowotwór, powiedziała Tomkowi, że Olgierd jest jego prawdziwym ojcem. Otrzymał też dopiero teraz kilka niewysłanych listów od Ewy sprzed wielu lat i ten jej list ostatni, w którym zdradziła mu ich tajemnicę, o której przez całe swoje życie wiedziała tylko ona.

Drogi Olo,

kochałam Ciebie przez całe życie tak bardzo, jak nikogo innego. Nikt nie potrafił mi dać odczuć tajemnicy świata tak pięknie jak Ty, nikt nie dał mi poznać tak bardzo poczucia sensu i bliskości, a było mi dane przecież być z Tobą tylko tych kilka dni i nocy, nie licząc niewielu spotkań w szkole, w Chełmży. Miałam nadzieję, że wszystko inaczej się potoczy i dlatego prosiłam Cię przed wyjazdem, abyś czekał na mój znak. Gdy wtedy w górach spotkaliśmy się, byłam już mężatką. Kiedy dość szybko po Twoim wyjeździe podjęłam decyzję, aby dać ci znak, i postanowiłam, że rozmówię się ze swoim mężem, on miał wypadek. Opiekowałam się nim przez dwadzieścia lat. Potem sama zachorowałam.

Zaistniałeś od samego początku w moim kryształowym pałacu zbudowanym na naszej wspólnej, kiedyś bezludnej wyspie i pozostałeś w nim na zawsze. Wierzyłam zawsze, że osiągniesz marzenie swego życia i zostaniesz pisarzem. Nie miej mi za złe, że nie napisałam Ci o Tomku. Wiem, że was skrzywdziłam, ale nie mogłam inaczej.

Reszta czeka nas Tam. To był Twój pomysł – tak na wszelki wypadek, jak to określiłeś. Do spotkania więc, kiedyś – wśród gwiazdozbiorów.

Zagubiony

Wojtek81

Piotr Nowak, ubrany w elegancki garnitur, różowy krawat i błyszczące skórzane buty, wysiadł z taksówki wprost przed wejściem do restauracji „Madryt” w centrum miasta. Na samą myśl o dzisiejszym służbowym bankiecie uśmiech pojawiał się na jego twarzy. Jako pracownik działu kredytów w banku mógł dziś śmiało świętować sukcesy, osiągnięte w ostatnich miesiącach pracy. Nie krył faktu, że wciskając ludziom kłamstwa, dożywotnio uzależniał ich od kredytów, z czego skutecznie korzystali jego pracodawcy. Był ostatnio mocno chwalony przez samego dyrektora i czuł, że dziś jest dzień, w którym po raz pierwszy usłyszy o możliwości objęcia stanowiska kierownika działu.

Na sali było już głośno, grał wynajęty zespół, a kelnerzy rozdawali przekąski i drinki. Sam chętnie skorzystał i wypijając pierwszą szklankę whisky z colą, rozmawiał z kolegami i koleżankami z pracy.

– No, to zdrowie naszych klientów. Oby jak najdłużej żyli i płacili raty! – wzniosł toast, a towarzystwo zaśmiało się niemal jednocześnie.

– Bezczelność cię kiedyś zgubi, Piotrek – powiedział niby żartem Krzysiek, kolega z pracy, na co dzień urzędujący w jednym pokoju z Nowakiem.

– W tych czasach tylko tacy jak my pływają po jeziorze. Szczupaki rządzą, płotki chowają się po zaroślach i ledwo żyją. Nie ja wymyśliłem ten system! – Pewny siebie Piotr wychylił następną szklankę.

Gdy otworzył oczy, zobaczył wirujący sufit swojej sypialni. Mdliło go, głowę miał ciężką, a ręce zdrętwiałe od leżenia. Przerażał go fakt, że nie pamiętał poprzedniego wieczoru. Jego świadomość zakończyła się w momencie wypicia kolejnej szklanki drinka, a przecież nie było jeszcze tak późno. Pomimo szczerych chęci nie potrafił odtworzyć w pamięci dalszej części wczorajszego bankietu.

Z trudem wykaraskał się z łóżka i wstał do toalety. Natychmiast zwrócił wczorajszą kolację, dzięki czemu poczuł się znacznie lepiej. Jego ubranie leżało na fotelu, nieskładnie rzucone przez pijanego właściciela. Przeszukując marynarkę i spodnie, nie znalazł portfela, co bardzo go zmartwiło, bo miał tam poza pieniędzmi wszystkie dokumenty i karty bankomatowe. Gdy postanowił zadzwonić do kolegi zza biurka, zorientował się, że telefon również przepadł.

– Kurde, co się wczoraj wydarzyło? – pomyślał na głos i pośpiesznie zaczął się ubierać. Przerwał na chwilę, gdy zakręciło mu się w głowie. Usiadł na łóżku i kiedy już poczuł się dobrze, narzucił na siebie koszulę i marynarkę. Postanowił udać się do „Madrytu”, miejsca wczorajszej imprezy.

W lokalu o tej porze było prawie pusto, a barman skrupulatnie, odwracając się w stronę światła lampy, polerował lampki do białego wina. Gdy Piotrek stanął przy barze, ten natychmiast uprzejmie zwrócił się w jego stronę:

- Co dla pana?
- Chciałem zapytać, czy nie znaleziono tutaj portfela i telefonu po wczorajszej imprezie? – zapytał Piotr szybko i nerwowo.
- Nic mi nie zgłaszała nocna zmiana – odpowiedział zdziwiony barman – ale zapytam jeszcze kolegi. Proszę tu chwilę poczekać.
- To niech pan naleje mi piwko.

Barman powoli nalewał złocisty trunek po ściance kufła z grubego szkła, a Piotrek rozglądał się z ciekawością po lokalu. Przyciągnęło go spojrzenie gościa, samotnie siedzącego przy jednym ze stolików i pijącego piwo, wpatrującego się w Piotrką z uśmiechem na ustach. Łysy grubasek w marynarce i z dużą, niemodną już

muszką pociągał kolejny łyk, kiedy przed Piotrkim stanął pełny kufel. Barman szybko udał się na zaplecze, a Piotr napił się pośpiesznie kilka łyków piwa. Kiedy znów odwrócił się w stronę stolików, grubaska już tam nie było – zniknął razem z kuflem.

– Niezłą mam sieczkę w głowie – powiedział sam do siebie i nieco rozluźniony porcją alkoholu, czekał na barmana. Ten przyszedł po kilku minutach, oświadczając, że nikt z obsługi nie znalazł jego rzeczy.

Piotrek szybko dopił piwo, nie delektując się jego dobrym smakiem, i wyszedł z knajpy. Promienie słoneczne już mu tak nie dokuczały jak w momencie wyjścia z mieszkania, stąd jego wyraz twarzy nabrał pewności siebie i poczuł wreszcie, że zmęczenie z niego uszło, niczym za dotykem czarodziejkiej różdżki.



Na komisariacie panował niepokój i policjanci nerwowo wchodzili i wychodzili przez główną bramę.

– Dzień dobry. Niezły ruch tu dzisiaj macie, jakiś mecz dzisiaj? – chciał zażartować Piotrek, zwracając się do dyżurnego.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc? – odpowiedział poważnie funkcjonariusz.

– Chciałbym zgłosić zagubienie dokumentów... – Nie zdążył dokończyć.

– Drugie piętro, pokój dwieście osiem – wypalił jak z automatu dyżurny.

– Dziękuję – odpowiedział Piotr i ruszył w stronę schodów, mijając podenerwowanych policjantów, nerwowo dyskutujących ze sobą i gestykujących rękami.

Zapukał i wszedł do wyznaczonego pokoju. Za biurkiem siedział wysoki, siwawy mężczyzna w średnim wieku, z pociągłą twarzą i cerą zniszczoną od dymu tytoniowego. Palił papierosa i wystukiwał z trudem litery w klawiaturę komputera. Gdy Piotrek stanął przed nim, ten skierował niechętnie wzrok w jego stronę.

– Proszę siadać. – Wskazał krzesło naprzeciwko biurka. – Pan jest świadkiem?

– Świadkiem? – zdziwił się Piotr. – Nie. Kazano mi się tu zgłosić w sprawie zagubienia portfela i dokumentów.

– Aa... To przepraszam. Mam tyle dziś na głowie, że całkiem zapomniałem o zwykłej pracy. – Podrapał się po siwej czuprynie. – Proszę na chwilę wybaczyć, muszę wziąć od kolegi niezbędne dokumenty.

Wstał i wyszedł na korytarz. Piotrek, nieco zirytowany, rozglądał się po brzydkim pokoju, pomalowanym pewnie kiedyś na żółty kolor. Nagle mało nie podskoczył, gdy usłyszał tępy, głośny dźwięk z wysokości biurka. Szybko zorientował się, że to faks, ujrawszy kartki formatu A4 wylatujące z urządzenia na podłogę. Podniósł pierwszą z nich i mało nie upadł z wrażenia na podłogę, a jego serce zaczęło bić tak głośno, że nie słyszał własnych myśli. Na papierze widniała jego podobizna, narysowana w taki sposób, w jaki pokazują ściganych zbrodniarzy w programach telewizyjnych. Pod jego portretem widniał duży napis: „Poszukiwany”.

Wstał z miejsca i wybiegł czym prędzej z pokoju, trzymając w ręce zmiętą kartkę z faksu. Podążał w kierunku wyjścia szybkim krokiem, odwracając się za siebie, mijając na korytarzu policjantów i cywili. Przechodząc obok okienka dyżurnego, trącił przypadkiem odwróconego do niego plecami jegomościa. Gdy odwrócił się, żeby zobaczyć reakcję tamtego, zauważył dobrze mu już znaną twarz, wpatrzoną w niego i kiwającą przecząco głową. Był to łysy, mały grubasek w marynarce i muszce, którego spotkał w „Madrycie”.

Spanikowany i całkowicie zdezorientowany, z komendy pobiegł w stronę osiedla, gdzie mieszkał Krzysiek, kumpel z pracy. Po drodze wyrzucił do śmietnika kartkę z faksu, wcześniej drąc ją na drobne kawałki. Postanowił udać się do kolegi i zapytać o szczegóły wczorajszego wieczoru. Tracił grunt pod nogami, a wiedział ze szkoleń, że strach i panika to nie są najlepsi doradcy w trudnych sytuacjach.

Stojąc przed wejściem do klatki schodowej dziesięciopiętrowego bloku, czekał na odpowiedź z drugiej strony domofonu.

– Halo? – zabrzmiał zniekształcony głos Krzyśka.

– Cześć, tu Piotrek. Mogę wejść na chwilę?

Nastąpiła chwila milczenia, po czym usłyszał charakterystyczny trzask, sygnalizujący możliwość otwarcia drzwi. Szybko przedostał się do windy, skąd wyjechał na ostatnie piętro, gdzie mieściła się kawalerka Krzyśka. Drzwi już były otwarte, dlatego wszedł bez pukania. W przedpokoju stał kolega z założonymi na klatce piersiowej rękami i spoglądał na niego z wyrazem niepokoju i złości na twarzy.

– Co chciałeś? – Piotra zaskoczył jego ton. – Mało ci było wczoraj?

– Słuchaj – szybko zaczął mówić Piotr – właśnie chciałem zapytać, co się wydarzyło wczoraj. Mam kompletną amnezję, do tego zgubiłem portfel, dokumenty i telefon. . .

– Na policję trzeba było pójść, nie do mnie – rzucił oschle Krzysztof. – To, że nie pamiętasz wczorajszego wieczoru, w ogóle cię nie usprawiedliwia.

– Powiedz wreszcie, co ja takiego zrobiłem! – wykrzyczał Piotr. Czuł, że coraz bardziej, z minuty na minutę, przerasta go ta cała sytuacja.

– Obraziłeś mnie przy wszystkich, nazwałeś swoim „przydupasem”. Czy wiesz, jak się teraz czuję? Może i masz dziwne poczucie humoru, ale ja sobą pomiatać w ten sposób nie dam. Myślę, że nasza przyjaźń jest już skończona – powiedział z żalem Krzysztof, na co Piotr zareagował śmiechem.

– Przepraszam cię, ale nawet nie wiesz, jak się cieszę. – Piotr nie krył swojej radości, co tylko rozwścieczyło Krzyśka. – Myślałem, że zrobiłem coś strasznego. Nie uwierzysz, ale widziałem swoją podobiznę na policji!

– Ty jesteś pojebany, lecz się, człowieku, i wynoś się z mojego domu! – Pokazał palcem na drzwi wyjściowe, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Gdy odebrał, Piotr stał w drzwiach, przysłuchując się i czekając jeszcze chwilę na możliwość rozmowy z kolegą. Tamten odpowiadał krótko: „tak” i „nie”, coraz bardziej wnikliwie wpatrując się w stojącego w wejściu Piotra. Gdy skończył rozmowę i odłożył telefon, przemówił z przerażeniem:

– Dyrektor Salamon nie żyje.

– Co takiego? Kiedy? Jak?

– Wczoraj po bankiecie ktoś go zadźgał nożem w drodze do domu... Policja już tu jedzie, musisz na nich poczekać i wszystko wyjaśnić.

– Ale co ja mam z tym wspólnego? – W oczach Piotрка pojawiły się łzy. Czuł, że jego sytuacja robi się dramatyczna i nie może nic na to poradzić. – Ja tego nie zrobiłem, uwierz mi!

– Spokojnie, wejdź do mieszkania, nie ma czego się bać. – Ostrożnym krokiem Krzysiek zaczął zbliżać się do rozmówcy, który powoli wycofywał się na klatkę schodową.

– Nic nie pamiętam, jak Boga kocham! Nie dam się zamknąć, ja nie mogę siedzieć w więzieniu, ja mam zostać kierownikiem działu!

Odwrocił wzrok w stronę schodów, gdzie piętro niżej usłyszał czyjeś pojedyncze kroki, wyraźnie zbliżające się do nich. Krzysiek był już blisko Piotra, kiedy ten dostrzegł na półpiętrze wpatrzonego w siebie dobrze mu już znanego małego, łysego grubaska w marynarce. Nie zastanawiając się dłużej, uderzył z całej siły pięścią w twarz Krzyśka, który poleciał do tyłu, uderzając po drodze głową o kant komody w przedpokoju, i padł nieruchomy na podłogę swojego mieszkania. Krew trysnęła na wszystkie strony, plamiąc podłogę i ściany pomieszczenia, a Piotr z przerażeniem zaczął wbiegać po schodach, choć zdawał sobie sprawę, że to ostatnie piętro bloku. Gdy znalazł się na samej górze budynku, zobaczył właz prowadzący na dach. Bez zastanowienia wspiął się na metalowe stopnie i mocnym pchnięciem pokonał ostatnią przeszkodę łączącą go z budynkiem. Poczuł ból w ręce, a jego twarz przeszło zimne powietrze. Gdy wygramolił się na dach wieżowca i podszedł do jego krawędzi, zobaczył kilka samochodów policyjnych z włączonymi sygnałami świetlnymi oraz liczne grono funkcjonariuszy, kręcących się na parkingu przed klatką schodową. Znalazł się w pułapce i o ucieczce w tej sytuacji nie było mowy, zwłaszcza że na dachu już pojawił się dobrze mu znany grubasek, który szedł w jego stronę i tylko spokojnie mówił:

– Nie rób tego, nie możesz teraz odejść, wszystko będzie dobrze.

Piotrek nerwowo patrzył to na niego, to w dół na parking, powolutku przesuwając się w stronę końca dachu.

– Nie zamkniecie mnie, ja niczego nie zrobiłem, to jakieś nieporozumienie! – zawył bezradnie.

– Nie pogarszaj swojej sytuacji! A z panem Krzysztofem to był tylko wypadek... – spokojnie mówił tamten. – Poddaj się, a twój koszmar się skończy.

Piotr niczego więcej nie usłyszał – zamknął oczy i skoczył, jakby chciał się unieść w powietrzu niczym ptak.

★ ★ ★

Podniósł ciężkie powieki, zdając sobie sprawę, że jednak żyje. Leżał w łóżku, przypięty do niego pasami, w pomieszczeniu, które wyglądało jak sala szpitalna. Obok, na krześle, siedział jakiś młody, dobrze zbudowany facet w białym fartuchu i poprawiał krolówkę, podłączoną do lewej ręki Piotra.

– Widzę, że się przebudziłeś. Podziękuj doktorowi, jak się pojawi, bo wyciągnął cię z tamtego świata – przemówił pielęgniarz. – Nie wiem, co ci odbiło, żeby tak się wykańczać w tak młodym wieku.

– Ja naprawdę niczego złego nie zrobiłem, a z Krzyśkiem to był tylko przypadek – wybelkotał zmęczonym głosem Piotr. Jego twarz była blada i bardzo zmęczona. Nie przypominał już młodego, energicznego pracownika banku.

– Wiem, wiem. Cały dzień to majaczyłeś i powtarzałeś przez sen – pokręcił głową tamten. – Czy ty wiesz, gdzie jesteś i jak się tu znalazłeś?

– Jestem niewinny, niczego nie pamiętam – powtarzał niczym katarynka Piotr.

– Może i lepiej, że nie pamiętasz. Prawda, panie Heniu? – uśmiechnął się i odwrócił głowę w kierunku drugiej strony pokoju, gdzie dopiero teraz Piotr zauważył starszego mężczyznę, leżącego na szpitalnym łóżku.

– Święte słowa, panie Romku. Młody harcował jak stary herbatnik – roześmiał się staruszek. – Młodo, chłopcze, zaczynasz...

– Co ja tu robię, gdzie ja właściwie jestem i o co wam chodzi? – zapytał jakby zahipnotyzowany Piotrek.

– Ciesz się, że tu jesteś, a nie w kostnicy – mówił dalej pielęgniarz. – Znaleźli cię sąsiedzi, zapitego w domu, ledwo żywego.

Musiałeś pociągnąć niezły maraton, bo takiej delirki alkoholowej już dawno tu nie widziałem. – Pokiwał głową.

– Ale ja przecież nie jestem pijakiem, mam dobrą pracę w banku. . .

– Dobrze cię pamiętam, jak pracowałeś w banku. Nawet mi kredyt dawałeś, obiecywałeś superwarunki i wciskałeś ten swój kit. Niestety, teraz już tam o tobie pewnie zapomnieli i mają kolejną maszynę w garniaku, z ładnym uśmiechem i z gotowymi pomysłami na zyskanie kolejnego naiwnego klienta.

– Dla nich jesteś już menelem – dodał sąsiad z sali o imieniu Heniek. – Swoją drogą, każdemu się może w życiu noga powinąć, zwłaszcza jak stresowa robota. Nie wytrzymałeś ciśnienia, chłopcze, i uciekłeś w wódkę, a ta zawsze zaprowadzi cię tu – do szpitala, na odtrucie i odwyk. Ja tu jestem siódmy raz, ale zacząłem trochę później od ciebie. Wiesz, co jest najgorsze w tym wszystkim? – Heniek podniósł głowę z poduszki, oczy mu się zaszklily i wpatrując się w Piotrkę, kontynuował: – Najgorsze jest to, że będę tu wracał do śmierci i nie ma dla mnie ratunku. Odwyk nic nie da, jeśli jesteś samotny i nie masz dokąd wrócić. Ty tu jesteś pierwszy raz i jeśli zwątpisz w ludzi bliskich i postanowisz być sam jeden dla siebie na tym świecie, to podzielisz mój los, chłopcze. – Przerwał na chwilę, bo w wejściu do sali stanął tak dobrze znany Piotrkowi stary, mały, łysy grubasek, tym razem bez marynarki i muszki, a w białym lekarskim kitlu. – Jest i pan doktor u nas. . .

Piotrek, gdy go zobaczył, jeszcze bardziej zbladł, oczy przewróciły mu się tak, że było widać same białka, z ust potoczyła się piana, a jego ciało zaczęło się trząść jak galareta.

– Panie doktorze, znów ma delirkę! – wykrzyknął pielęgniarz.

Wera

Chrisa Ellas

PORÓD

Coraz głośniej słyhać nadciągającą burzę. Zaczynają spadać pierwsze krople deszczu. Ludzie ukryci w domach oddychają z ulgą; tym razem deszcz nie przejdzie bokiem. Wiatr uspokoił się, zatrzymał deszczowe chmury nad wioską. Twarze przyklepione do szyb z radością patrzą na spadające ciężkie krople. Jest ich coraz więcej i więcej. Deszcz przemienia się w ulewę, całe podwórko pokrywa się dużymi kałużami. Na niebie raz po raz pojawiają się błyskawice.

W ładnym domku na skraju wsi Matylda rodzi swoje trzecie dziecko. Silne grzmoty zagłuszają jej potworny, pełen bólu i wściekłości krzyk. Nienawidzi tego dziecka od pierwszych jego dni w jej łonie. Ma już dwójkę odchowanych i to nie jest jej do niczego potrzebne. Dwie córki, które zawsze robią i mówią to, co ona chce, takie kochane, posłuszne dziewczynki. W dniu, kiedy zorientowała się, że jest znowu w ciąży, opanowała ją wściekłość; z nienawiścią wykrzyczała tę wiadomość mężowi, oczekując, że zobaczy na jego twarzy przerażenie. Ale nie zobaczyła. Ujrzała coś zupełnie innego – ogromną radość i ulgę. Spostrzegła w jego oczach bardzo dużo słońca. Ta radość ją poraziła. Zrozumiała, że to dziecko będzie dla niego najważniejsze, że czeka na nie, aby obdarować je wielką miłością i troską. Przeraziła ją myśl, że ten bachor zagarnie całą majątek jej męża. Majątek, który należy tylko do niej i do jej dwóch wspaniałych córek.

Od tego dnia budziła się codziennie wściekła, pełna nienawiści

i chęci zemsty. Po kryjomu odwiedziła znachorkę mieszkającą na skraju lasu, mając nadzieję, że za małą opłatą dostanie lekarstwo na niechcianą ciążę. Znachorka odmówiła. Nie pomogły prośby i błagania, nie pomogły pieniądze. Była nieubлагana. Kręciła głowę i powtarzała w kółko:

– To dziecko musi się urodzić.

Przerażona Matylda nie dała za wygraną. Codziennie z uporem podnosiła ciężary, wychodziła na strych i skakała w dół, ryzykując połamanie nóg. Jej ciało pokryło się siniakami, była cała obolała, a dziecko cały czas było w jej łonie.

Wbiło się we mnie i jak pijawka ssie mnie od środka – myślała ze wstrętem. Wściekła od rana do późnej nocy, wyzywała każdego, kto się jej nawinął pod rękę. Jej mąż Józek znosił to ze spokojem świętego. Z radością patrzył na powiększający się brzuch, rozmawiając w myślach z nienarodzoną jeszcze dziewczynką. Wiedział, że to dziewczynka i że będzie go bardzo kochać. Jej obraz miał przed oczami od chwili, gdy zobaczył we śnie swoją zmarłą babcię. Siedział z nią na pniu ściętego drzewa i nagle jej obraz zakrył nowy. Zobaczył twarz młodej dziewczyny, a raczej dziecka. Twarz zmieniała się szybko, dorastała, widział dokładnie figurę dziewczynki, a potem kobiety, widział jej duże, piękne oczy. Oczy, które patrzyły z troską i miłością; prawdziwą miłością. Nagle obraz zniknął, na pniu znowu siedziała babcia. Podniosła się i powoli zaczęła odchodzić. Zanim rozplynęła się całkowicie, posłała mu ciepły, serdeczny uśmiech.

Obudził się, nie rozumiejąc, o co tu chodzi. Przez kilka dni próbował zrozumieć sens snu i niewypowiedzianych słów ukochanej osoby, która dała mu dużo miłości i która zawsze się o niego bardzo troszczyła. Nie rozumiał, ale wiedział, że wkrótce spotka go coś miłego.

Wszystko stało się jasne, gdy żona oznajmiła mu o ciąży. W tym dniu narodził się na nowo. Z przerażeniem obserwował diabelskie sztuczki swojej małżonki, błagając o pomoc Boga, aniołów i babcię. W nocy czekał, aż żona zaśnie, i delikatnie głośkał jej brzuch, szepcząc:

– Trzymaj się, malutka, jestem tutaj i czekam na ciebie.

Miesiące mijały jeden za drugim swoim zwykłym biegiem. Ani szybko, ani wolno, ale dla Matyldy i Józka ciągnęły się niesamowicie. Matylda zaprzestała prób pozbycia się płodu. Zrozumiała słowa znachorki i z każdym dniem nienawidziła tego dziecka jeszcze bardziej. Próbowала się pocieszać myślą, że to, co się urodzi, nie musi żyć. Przyczepiła się z nadzieją do jej słów.

Jest przecież tyle dziecięcych chorób – myślała z radością, tworząc makabryczne obrazy.

Końcówka ciąży upłynęła Matyldzie na takich rozważaniach. Uśmiechała się do tych swoich myśli i to były jedyne momenty, gdy na jej twarzy nie malowała się wściekłość.

Józek z każdym dniem czuł się młodszy i silniejszy. Przypominał sobie całe mnóstwo bajek, które opowiadała mu babcia Weronika. Pamiętał, jak biegał za nią, prosząc:

– Babcia Wera, babcia Wera, daj chlebka.

To były jego pierwsze słowa, które wymówił, będąc już stosunkowo dużym chłopcem. Do dziś pamięta łzy radości w jej oczach, bo wszyscy wołali już za nim niemowa. Od tej pory mówił szybko i sprawnie i często trzeba mu było zamykać usta pajdą chleba, bo sam z siebie nie zamykał ich prawie nigdy. Tak mu się spodobało to gadanie, że nawet przez sen mamrotał. Przygasiła go dopiero żona, którą poślubił, aby wygrać zakład z kolegą. W dniu ślubu zrozumiał, że wygrał zakład, ale przegrał swoją radość. Niestety, tej decyzji nie dało się już odkręcić, i tak upływał rok za rokiem. Skupił się na pracy, w którą skierował całą swoją miłość, gdyż ani żona, ani jego dwie córki nie oczekiwały od niego miłości. Oczekiwały pieniędzy i prezentów. Dawał więc coraz więcej i więcej, całą swą miłość przelewając na konie.

Jego stadnina rosła z każdym rokiem. Był coraz sławniejszy, do niego zjeżdżali inni hodowcy, i to nie tylko z kraju. Konie były piękne i wytrzymałe, wygrywały wyścig za wyścigiem i zdobywały wciąż nowe medale. W swoich stajniach czuł się wspaniale. Tam był szczęśliwym człowiekiem i z każdym rokiem spędzał przy koniach więcej czasu, wracając do domu tylko na noc, a to i tak było za dużo dla jego kobiet. Wszystkie trzy powtarzały ciągle, jak bardzo razi je zapach koni, który z sobą przynosi. Dziewczynki nie pozwalały wziąć

się na kolana, bo... sukienka będzie brzydko pachnieć. Najpierw nie sobie z tego nie robił i próbował, ale szybko przekonał się, że to są córki bardziej żony niż jego. Spełniał ich prośby, brzmiące zawsze jak rozkazy, i nie narzucał im swojej miłości.

Kiedyś próbował zrozumieć, co właściwie kupuje sobie tymi pieniędzmi. Ich miłość, czy też spokój dla siebie. Tylko raz o tym pomyślał i nigdy więcej do tego nie wracał. Za bardzo bolało. Wychodził świtem do swoich koni i tam rozmawiał, tam żył. Znał każdego konia i rozpoznawał bezbłędnie każdy problem zdrowotny, jaki im się przytrafiał. Jego weterynarz śmiał się, że przychodzi tylko po to, aby przepisać lekarstwa, bo diagnozę zawsze wydaje on sam. I tak rzeczywiście było. Teraz siedział obok jednego z najlepszych swoich koni i z troską smarował mu okolice żołądka. Samanta od dwóch dni źle się czuła, pomimo najlepszych lekarstw, jakie jej aplikowano. Podniósł głowę i w drzwiach zobaczył babcię Werę. Natychmiast wstał, rzucił krótkie „zostań tu” w stronę weterynarza, wskoczył na najszybszego konia i wypadł na deszcz. Wiedział, bardzo dobrze wiedział, dlaczego babcia po niego przyszła. Pędził jak wiatr, gnany radością i niepokojem. Mijając mały domek ustawiony na skraju lasu, zobaczył na progu siedzącą postać babci. Natychmiast zawrócił, przypominając sobie, że tu mieszka najlepsza w okolicy akuszerka. Zeskoczył z konia, ale nie zdążył wejść do środka, kobieta wyszła mu naprzeciw gotowa do drogi. Posadził ją przed sobą i popędził do domu. Wpadł do środka, nie zważając na lamenty służącej, której zakazano wpuszczać kogokolwiek.

Rodząca powitała go wiązanką przekleństw, kierując je następnie w stronę akuszerki, która umiejętnymi ruchami zniweczyła jej plan. Z przerażeniem spostrzegła drewniany drążek pomiędzy swymi kolanami; osłabła z wściekłości i strachu. Wyzywając pod adresem dziecka, poczuła, jak mała główka wyśliznęła się na zewnątrz, i usłyszała pierwszy płacz. Jej serce na moment opanowała radość, a zaraz potem piekielny ból. „To ciebie będzie kochał, ciebie, nie mnie”. Ta myśl jak błyskawica przeszła jej głowę.

Wyrwała drążek, chcąc go użyć, ale dziecko było już poza jej zasięgiem. Mdlejąc, zobaczyła oczy Józka, oczy bardzo szczęśliwego człowieka.

Znachorka dokończyła pracę przy dziecku, zawinęła je w ciepły kocyk i podała ojcu. Wzięła torbę w rękę i wyszła na ganek. Józek podążył za nią, trzymając swój skarb w ramionach. Popatrzył w niebo i ze zdziwieniem stwierdził, że przestaje padać, pomimo iż zanosilo się na kilkudniową ulewę. Spękana ziemia domagała się wody, wszystko wysychało. Tulił do siebie ten żywy węzelek i całował delikatnie. Czuł się bardzo szczęśliwy, w tej chwili był najbogatszym człowiekiem na świecie, miał swój własny skarb. Podniósł oczy w niebo, aby podziękować za tyle radości, i zobaczył piękną tęczę ogromnych rozmiarów i pod nią drugą, małą.

Znachorka patrzyła w niebo, zastanawiając się nad tym, co czuła. Przypominała sobie dziwne sny z ostatnich miesięcy. Wpatrzyła się w niebo i zaczęła powoli składać wszystko w jedną całość. Każde sen, każde słowo, które podpowiadała jej intuicja, wydarzenia, które następowały jedno po drugim. Wszystko to teraz jak puzzle zaczęło układać się w jedną całość. Zaczęła powoli rozumieć co, skąd, po co i dlaczego. Jej ciało przebiegł dreszcz. Zrozumiała, kim jest to maleństwo, które właśnie przyszło na świat. Pogłaskała zawiniątko i ruszyła w stronę chatki. Józek patrzył w ślad za nią, stwierdzając w pewnej chwili ze zdziwieniem, że kobieta podąża lekkim, tanecznym krokiem. Zaśmiał się w duchu, myśląc, że się upił tą swoją radością i wszystko mu tańczy przed oczami. Przytulił małą Werę jeszcze mocniej do siebie i wszedł do domu. Zamykając drzwi, usłyszał, jak ponownie zaczyna padać deszcz, spokojnie i równo zraszając spragnioną ziemię. Nad wioską zawisł obłoczek radości i ulgi. Plony zostaną uratowane.

Akuszerka wracała do domku pełna radości, ale i niepokoju. Zanim dotarła, przemokła do suchej nitki. Szybko zdjęła przemoczone ubranie, zaparzyła ziółka i usiadła wygodnie w swoim ulubionym bujanym fotelu. W uszach brzmiały jej słowa dzieciaków z wioski, witających z radością piękną tęczę. Na kolana wskoczył kot, domagając się pieszczoty. Bujając się w tył i przód, zapadła w półsen; w przód, w tył, w przód, w tył. Wczoraj, dziś, kiedyś, kiedyś, kiedyś... Tęcza, tęcza, tęcza... Mała polanka w pięknym młodym lesie. Na posłaniu z dzikich długich traw pomarszczony staruszek. Trzyma jej rękę w swojej, patrzy na nią z miłością i tro-

ską. Jego słowa ostro ranią, wywołują ostry sprzeciw. Nie, jeszcze nie teraz. Ale los jest nieubłagany, nie daje więcej czasu. Ostatkiem sił staruszek szepcze:

– Pamiętaj. Tęcza, tęcza, dwie tęcze... Ja wrócę ... szybko.

ZNACHORKA

Niebo przeszywa błyskawica, nad ich głowami zatacza koła sowa, a potem cicho, nie wydając żadnego dźwięku, oddala się w stronę lasu. Została sama z ciałem ukochanego nauczyciela, serdecznego przyjaciela. Wie, że nie powinna płakać, wie, że on wróci, że jeszcze go spotka, że ich drogi jeszcze się nie rozchodzą, ale czuje się bezsilna. Jest jeszcze taka młoda, taka bezradna. Nie zdążyła się nauczyć tego, czego chciała, teraz będzie musiała uczyć się sama, kontynuując dzieło swego mistrza. Rozkłada swe ręce nad ciałem nauczyciela i nucąc cicho modlitwę, pomaga duszy przygotować się do drogi. Wciąga posłanie do domku, aby nie dziobały go ptaki. Zarzuca na siebie ciepłą chustę i wychodzi znowu na zewnątrz. Jest już dobrze po południu, musi się pośpieszyć, aby dojść do wioski i wrócić przed nocą. Schodzi szybkim krokiem stromym zboczem w stronę wsi, myśląc cały czas o człowieku, który odchodzi. Pamięta ich pierwsze spotkanie, pamięta słowa związane z jej narodzinami, przy wtórze grzmotów i silnej wichury. I jego słowa, które jeszcze dziś, tak jak wtedy, dźwięczą radośnie w uszach:

– A potem wziąłem cię w ramiona i wyszedłem na deszcz. Ale deszczu już nie było, na niebie zobaczyłem dużo słońca i piękną tęczę, a właściwie dwie tęcze, jedną dużą i drugą małą. Wtedy upewniłem się, że jesteś nasza.

W serce, tak jak wtedy, wkracza wielka radość i duma. Jest jej trochę łatwiej, schodzi szybko w dół, nie bacząc na raniące ją kamienie. Jej myśli znowu odpływają w przeszłość. Jest ciepły jesienny dzień. Wędrując ze swoim nauczycielem od wsi do wsi, dotarli na wielkie pastwiska. Nauczyciel kłęczy przy młodym pasterzu, który kilka dni temu spadł ze skały. Jego ręce delikatnie wędrują po ciele chłopca, wykonując koliste ruchy. W pewnym momencie wstaje i ustępuje jej miejsca. Tak jak zawsze. Teraz ona

musi postawić diagnozę. Pracuje powoli i w skupieniu, badając krok po kroku każdy kawałek ciała chorego. Za każdym razem, gdy napotyka na chore miejsce, podnosi głowę i patrzy na mistrza. Za każdym razem widzi radość w jego oczach i dumę z jej osiągnięć. Po zakończonej diagnozie przychodzi czas na składanie kości. Chory ma jedno złamanie, które napawa ją lękiem, ale wie, że musi to zrobić sama. Próbuje się wymigać, zaczynając od drobnych spraw, ale natychmiast czuje na sobie karcący wzrok. Siada na chwilę obok i zagłębia się w medytacji; musi pozbyć się lęku, zdobyć się na odwagę. Medytując, czuje płynący mocny strumień światła. Szybko i zręcznie zabiera się do ustawiania kości. Po kilku minutach zmęczona, ale szczęśliwa i pewna siebie dziękuje losowi za dar uzdrawiania. Odchodząc, zostawia maści do smarowania i zioła do picia. Jest pewna, że chłopak całkowicie odzyska zdrowie. Przez kilka następnych dni włączy go do swej uzdrawiającej modlitwy.

Szczekanie psów przywraca ją do rzeczywistości. Rozpamiętując przeszłość, nie zauważyła, że dotarła do wsi. Kieruje się prosto do znajomego domku, aby uzyskać pomoc w pochówku nauczyciela. Przed dom wychodzi barczysty mężczyzna w średnim wieku. Jego serce przeszywa ból. Zrozumiał. Podaje zmęczonej kobiecie wodę, a sam przygotowuje się do drogi. Nie pada ani jedno słowo, żadne z nich nie jest w stanie rozmawiać, żadne z nich nie potrzebuje słów. Wyruszają w drogę powrotną. Mężczyzna ma przed oczami postać nauczyciela, przykucniętego obok jego posłania. Jego ciało jest jak wielka ropicjąca rana. Mistrz dotarł o wiele za późno, choroba bardzo się rozwinęła. Obaj wiedzą, że jest za późno. Obok posłania cichutko przykucnęła mała dziewczynka, towarzysza wędrowek mistrza. Popatrzyła z troską na chorego i nagle szybko, z dziecięcą radością poderwała się do góry i jak mały urwis zakomenderowała:

– Ty leż i się uśmiechaj. Ty tutaj sprzątaj, a ja będę robić tęcze.

Spojrzeli na siebie z ogromną nadzieją. Obydwaj poczuli niesamowitą siłę małej.

Dziewczynka wirowała jeszcze przez chwilę po izbie, nucąc pod

nosem sobie tylko znane słówka, a następnie wyszła przed dom i pograżyła się w medytacji. Chory poczuł się senny, zamknął oczy i powoli odpływał. Przez chwilę jeszcze czuł ręce przyjaciela nad swoimi ranami. Wydawało mu się, że coś mocnego wysysa z nich całą zgromadzoną ropę. W głowie zawirowała myśl: „Będę żył”. Po czym odpłynął w sen.

Sen trwał kilka dni i kilka nocy. Kiedy wreszcie obudził go potworny głód, zobaczył swoje ciało pełne zaschniętych już ran. Jadł, odpoczywał, spał, znowu jadł, i znowu spał. Tak było przez kilka dni, aż poczuł się całkiem zdrowy. Przez wiele lat nie widział swego przyjaciela, a kiedy wiosną zawitali oboje do jego wsi, zrozumiał, że mistrz kończy już swoją życiową wędrówkę. Cieszył się, widząc go znowu, i cierpiał myśląc, że straci go na zawsze. A teraz wspinał się w górę, aby pożegnać go i oddać mu ostatni hołd. Małe kamyki wyskakiwały mu spod nóg, tocząc się w dół. Pragnął jak najszybciej zobaczyć człowieka, który uratował mu życie, i równocześnie chciał ten moment oddalić. Nie wiedział, czy wystarczy mu siły, aby zobaczyć go bez tej energii, która zawsze mu towarzyszyła.

Nie zamieniwszy z sobą ani jednego słowa, dotarli na polanę. Przez chwilę stali jak skamieniali pod wrażeniem tego, co ujrzeli. Na dworze panował już prawie zmrok, drzwi chaty były otwarte i biło z nich mocne słoneczne światło. Gdy tak stali, wpatrując się w ten cudowny widok, światło zaczęło z wolna przygasać. Teraz już mogli wejść do środka. Czuwali przy nim całą noc, nie zamieniwszy z sobą ani jednego słowa. Każde z nich na swój sposób oddawało hołd zmarłemu.

Kot zeskoczył nagle z jej kolan i popędził przed siebie.

Pewnie zobaczył mysz – pomyślała, wracając do rzeczywistości. Posiedziała jeszcze trochę w fotelu, a potem podeszła do stolika i zapaliła lampę. Przygotowała sobie skromny posiłek i jedząc kolację, uśmiechała się szczęśliwie do nowo narodzonej dziewczynki. Jej obraz miała cały czas przed oczami. Czuła się w tej chwili najszczęśliwszą istotą na świecie. Była rada, że dziewczynka ma tak kochającego ojca, który nie pozwoli jej skrzywdzić. Układając się

do snu, obmyślała plan działania i opieki nad małą Werą. Zapomniała o swej codziennej modlitwie i tylko cały czas rozpościerała tęcze nad domem małej. W tym momencie liczyła się tylko ona. Znachorka nie była w stanie skupić się na nikim innym.

To tylko dzisiaj – rozgrzeszała samą siebie – jutro znowu będę myśleć o wszystkich potrzebujących. Rozkładając tęczę, zauważyła, że mała ma problemy z oddychaniem. Zrozumiała, kto jest temu winien, ale to już teraz nie miało znaczenia. Ułożyła kolorową piłkę na drogach oddechowych dziewczynki i ta natychmiast się uspokoiła. Była pewna, że mała obudzi się całkowicie zdrowa. Uśmiechając się radośnie, zasnęła.

Mała polanka, otoczona wianuszkami młodych drzew, na pięknej zielonej trawie pojawiają się pierwsze wiosenne kwiatki. Pochylona sylwetka kobiety w średnim wieku, która zręcznymi ruchami zbiera do koszyka młode zioła. Wkłada pęk ziół kwitnących na różowo do wypełnionego już po brzegi koszyka i podnosi głowę. Jej twarz wyraża radość, zadowolenie z życia. Patrzy radośnie przed siebie, a jej oczy przywołują ją serdecznie. Wera otwiera powoli oczy, radośnie uśmiechając się do słonecznego dnia, który zagląda przez okno. Jej myśli krążą jeszcze przez chwilę wokół snu. Postać znachorki często ukazuje się w jej snach, przyzywa ją, zaprasza do siebie. Zawsze bije od niej tyle ciepła, i zawsze patrzy na nią w taki dziwny sposób.

– Jak ktoś, kto bardzo mnie kocha – mówi sama do siebie. Wstaje z łóżka i kieruje się do łazienki, zbierając po drodze rozrzucone rzeczy. – Ach, ten tatko, zawsze tak robi, niezły z niego bałaganiarz. – Śmiejąc się, wiesza na miejsce ręcznik i ustawia w koszyku przybory toaletowe.

Zajadając smaczne bułeczki, Wera krąży myślami wokół małej słonecznej polanki ze swego snu. Kucharka kończy zmywanie i odwraca się w stronę dziewczynki, chcąc jej coś opowiedzieć. Otwiera usta, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Wie, że mała jej nie usłyszy, że jest już gdzie indziej. Widzi jej oczy zapatrzane w dal, całkowicie nieobecne, czuje, jak te oczy szukają ukrytych obrazów.

Po ciele dziewczynki rozlewa się znajome ciepło; przez chwilę

widzi tylko plamy różnych kolorów, ale już po chwili w otocze jasnego fioletu krystalizuje się obraz małej, zielonej polanki. Patrzy na nią, leżąc na miękkiej trawie. Obserwuje kołyszące się na wietrze konary drzew. Czuje smutek rozstania i ból fizyczny, który powoli ogarnia coraz to nowy mięsień. Czuje, że odchodzi, że musi się pożegnać. Widzi czekających opiekunów i przyjaciół. Po raz ostatni słucha śpiewu ptaków i szumu wiatrów. Nadszedł czas odpoczynku. Słyszy wielki smutek w głosie klęczącej obok kobiety.

– Jeszcze nie teraz, mistrzu, jeszcze nie teraz. Tak mało umiem, tak dużo jeszcze chciałabym się od ciebie nauczyć. . .

Ale już w następnej minucie czuje jej zrozumienie. Wie, że pogodziła się, że rozumie. Widzi przed sobą wielki most; jeszcze krok, jeszcze dwa, stawia nogę na pierwszej kładce, czując powiew wiatru z dwóch różnych światów. Zręczne ręce kobiety pomagają zrobić następny krok, i następny. . .

Śmiech sióstr, które zeszły na śniadanie, wyrывa ją z zadumy. Powoli wraca do kuchni, rejestrując złośliwą wymianę spojrzeń między dziewczynami. Siadają przy stole, patrząc ironicznie na jej strój.

– A gdzież to się wybiera nasza Weronika dzisiaj? – pyta starsza przymilnie.

– Do lasu, chcesz iść ze mną?

– No coś ty, tam jest tak, tak. . . – płacze się tamta, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

– Tak wstrętnie – prychna młodsza. – Nie boisz się, że coś cię ugryzie, jakiś wstrętny gad?!

– Nie boję się – odpowiada z uśmiechem Wera i powoli opuszcza kuchnię.

Wstępując na schody prowadzące do jej pokoju, po raz drugi odczuwa ten ból rozstania i słyszy słowa: „Już czas”. Wchodząc do pokoju, zamienia pantofle na buty sportowe i w podskokach wybiega na zewnątrz.

Zbliżając się do zielonej polanki, widzi stojącą na niej kobietę z koszykiem pełnym ziół. Podchodzi i wyciąga na powitanie rękę. Gdy ich dłonie i oczy spotykają się, Wera czuje przypływ radości, siły i wiary w siebie. Chce coś powiedzieć, ale zamiast tego kon-

centruje się na obrazie, który nagle powstał w jej umyśle. Czuje się jak po wielkiej walce, zmęczona, ale równocześnie bezpieczna.

– Udało się, udało – słyszy bezgłośnie wymawiane słowa. Ramiona, które ją trzymają, są pełne miłości i siły. – Wróciłaś, wróciłaś.

I ta piosenka – słowa, które tak często słyszy w swoich snach. Tęcza, tęcza, dwie tęcze.

Zanurza się w ramionach kobiety, rozkoszując się zapachem ziół, który jej towarzyszy. Siadają na trawie i znachorka powoli, krok po kroku zaczyna wprowadzać ją w tajniki zielarstwa. Dzięki jej słowom każdy kwiatek, każda roślina nabiera teraz ważnego znaczenia.

Pogrążone w rozmowie nie zauważyły, że minęło południe. Dopiero mocne burczenie w brzuchu przypomina dziewczynce o zapomnianym posiłku.

– Proszę, chodź ze mną na obiad, nasza kucharka wspianale gotuje – zaprasza znachorkę.

– Nie mogę, skarbie mój, nie mogę – odpowiada kobieta.

Patrząc głęboko w jej piękne, duże oczy, Wera odczytuje dalszą część odpowiedzi. Ze zrozumieniem kiwa głową i uśmiecha się tajemniczo. Jej uśmiechnięty buziak mówi: wiem, jak to załatwić.

Wraca drogą na skróty, mijając po drodze mały strumyk. Zatrzymuje się na chwilę, patrząc na czystą wodę i pluskające w niej ryby. W pewnej chwili czuje na sobie czyjś wzrok; odwracając się, napotyka zapłakane oczy dziewczyny w swoim wieku. Jej twarz jest jej znana – uśmiechając się do dziewczynki, myśli intensywnie. Podchodzi bliżej i wtedy przypomina sobie, że spotkała ją kilka razy w szkole – zawsze stojącą na uboczu, samotną. Kierując się w jej stronę, rejestruje dziwne obrazy, które stają jej przed oczami. Postać smutnego kotka, który łąsi się do jej nóg, zastępuje obraz dużego, czarnego pajaka, który natychmiast zamienia się w kobrę. Podchodzi do dziewczynki i przykucając przy niej, zagląda jej w oczy. Czuje powiew zimnego powietrza; zapłakane oczy są pełne dziwnego cienia. Jest w nich coś, co każe Werze mieć się na baczności.

Spędzają kilka godzin na szczerej rozmowie. Malwina opowiada o tym, jak bardzo czuje się samotna i nierozumiana. Jest jej

smutno i źle. Nie może się dogadać ani w domu, ani w szkole. Koleżanki stronią od niej, jakby była trędowata.

– Dlaczego one nie chcą ze mną rozmawiać? – pyta ze złością w głosie. – Przecież powinny być dumne z tego, że ja zabiegam o ich towarzystwo.

Wera przygląda się jej badawczo, nie mogąc zrozumieć tego, co usłyszała.

– Wczoraj rozmawiałam z Ewą, wydawało mi się, że ona chce zostać moją koleżanką, ale kiedy jej powiedziałam, żeby coś zrobiła z tą szopą, którą nosi na głowie, ona po prostu się odwróciła do mnie plecami. Wyobraź sobie, co za niewdzięczność. To ja tutaj się staram dla niej, poświęcam jej czas, a ona zachowuje się wobec mnie, jakbym była powietrzem – mówi nerwowo, zaciskając dłonie na rękach Wery. – To śmieszne – prycha jak kotka.

– Opowiedz mi coś o swojej rodzinie – prosi Wera.

Malwina ze smutkiem patrzy w dal, w jej oczach znowu pojawiają się łzy.

– W domu mam ten sam kierat – odpowiada po dłuższej chwili. – Wszyscy bez przerwy mają o coś do mnie pretensję. Moja starsza siostra skarży na mnie do ojca, że ja tylko na swoje paznokcie patrzę. Totalne kłamstwo – prawie krzyczy teraz. – Muszę dbać o ręce, one są wizytówką każdej kobiety, nie mogę obierać głupich warzyw i zmywać naczyń. Próbowалам, ale wiesz – patrzy na Werę z prośbą o zrozumienie jej – one potem były takie jakieś. . . nijakie. Mama jest ciągle zła, że zostawiam swoje rzeczy wszędzie, że nie dbam o porządek. Nie może zrozumieć, że mam na głowie inne sprawy. Wiesz, poznałam fajnego chłopaka, ma na imię Krystian, to on zaczął ze mną rozmawiać. – Przeskakuje szybko na inny temat. – Spotkaliśmy się wczoraj po szkole. Wygląda tak bosko. . .

Wera z radością obserwuje wyraz jej oczu, które teraz błyszczą, są tak śliczne z tymi tańczącymi ognikami.

Jest w niej tyle smutku – myśli, słuchając jej paplaniny. Ale za tym smutkiem daleko w tle jest coś jeszcze, coś, co napawia ją lękiem. Jakaś mroczna głębia, ciemna otchłań. To tam widzi całe stado pajaków, to stamtąd nadchodzi chłód. Wera odruchowo zakłada rękę na rękę, obejmując jakby samą siebie.

Burczenie w brzuchu zmusza Werę do przerywania rozmowy. Uśmiechając się przepraszając, podnosi się z trawy, bierze Malwinę za rękę i kieruje się w stronę domu. Dziewczynka ani na chwilę nie przestaje mówić. Wera z przyjemnością słucha tych słów pełnych zapachu. Ma przed oczami dokładny obraz młodego, przystojnego chłopaka o rozmarzonym, zakochanym spojrzeniu.

Kucharka z radością patrzy, jak dziewczynki pałaszują drugą już porcję pierogów, polewając je obficie śmietaną. Tryska z nich radość i życie. Przygląda im się z boku, czyszcząc sztućce. Już na pierwszy rzut oka widać, jak bardzo się różnią. Każdy ruch Malwiny jest wyreżyserowany, z wielką gracją trzyma sztućce, kroi małe kawałeczki i elegancko wkłada je do ust. Co i rusz poprawia nienaganną fryzurę i patrzy na swoje wypielegnowane ręce.

Taka mała aktoreczka – myśli kucharka. Podoba jej się ta dziewczynka, jest śliczna jak laleczka, ale jest w niej coś... Patrząc na nią, cały czas myśli o tym, żeby mała sobie poszła. Nie wie dlaczego, zupełnie tego nie rozumie, ale nie chce, żeby pojawiła się przy jej ukochanej Werze.

Kładąc się spać, Wera ma przed oczami dwa obrazy: znachorki, która opowiedziała jej dzisiaj tyle nowych rzeczy, i swej nowej przyjaciółki. Jutro ma trudny dzień w szkole, wypełniony aż do wieczora i nie zdąży pójść na polankę, ale za to pojutrze urządzą sobie tam piknik. Uśmiecha się jak mały łobuz na samą myśl o tym. Zasypia, myśląc o tym spotkaniu, ciesząc się już teraz z każdego słowa, które usłyszy.

Znachorka budzi się w środku nocy zlaną zimnym potem. Jej serce tłucze się jak oszalałe. Nie może pozbierać rozbieganych myśli. Siada na łóżku i odmawia modlitwę, prosząc o uspokojenie. Powoli, krok po kroku, przypomina sobie słowa Mistrza, które przyszyły wraz z silnymi powiewami wiatru. Słowa pełne niepokoju i bólu. Przed oczami pojawia się obraz wielkiego pająka, który trzyma w swych łapach nić życia... Zło wkrótce nadejdzie. Zło o wielkiej mocy.

Wstaje z łóżka i wykonuje proste codzienne czynności. Siadając w ulubionym fotelu z kotem na kolanach, powraca myślą do

snu. Monotonny ruch fotela i pomrukiwanie kota pomagają jej udać się w daleką podróż. Medytując, próbuje zrozumieć, kim jest pająk. Zagłębia się coraz głębiej i głębiej w mroczne czeluście, czuje przenikliwe zimno i coraz większe zło. Słyszy syk węża, który przybiera formę słów...

– Z pokolenia na pokolenie... – Dobiega ją przeraźliwy śmiech, wydobywający się jakby ze studni, tak mocny, iż trzęsą się mury. Odwraca głowę i widzi olbrzymiego pająka, który patrzy na nią. Pokonując paraliżujący ją strach, zagląda mu głęboko w wielkie, czarne oczy, starając się zrozumieć, kim on jest. Zamiast odpowiedzi na swe pytanie widzi... konającą Werę. Obraz ten wywołuje silny ból, który sprawia, że popełnia błąd i „wyskakuje” z miejsca, w którym się znalazła. Przerażona wraca do rzeczywistości, łązy same cisną się do oczu. Wie, że już nie będzie mogła tam wrócić i poszukać odpowiedzi na swe pytanie. Czuje się bardzo zagubiona, przeraża ją to, co widziała, paraliżuje fakt, iż ma do czynienia z tak wielką siłą. Nie wie, jak zadziałać. Nie wie... zupełnie nie wie...

Zagłębia się ponownie głęboko w swym fotelu, próbując pozbierać myśli. W przód... W tył... W przód... W tył... Myśli wybiegają na otwartą przestrzeń, przebijają się przez pokłady szarości i wchodzą w piękny, jasnofioletowy obszar. Przyjemne ciepło rozlewa się po jej ciele. Siadając przy ognisku, uśmiecha się do zgromadzonych osób. Ich ręce łączą się, przekazując jej ogromną siłę. Równy, wysoki płomień ogniska wskazuje sposób działania.

W przód... w tył... w przód... w tył... W szeroko otwartych oczach nie ma już łez, jest wielka siła i chęć do walki. Wyznaczona do tak ważnego działania, czuje się bardzo wyróżniona. Walka będzie trudna, ale teraz ma za sobą wielką siłę i wielką nadzieję. Podnosi się z fotela i biorąc swój koszt, wychodzi do lasu po codzienną porcję ziół.

ZAGROŻENIE

Jak dobrze, że to tylko sen. Wera budzi się już trzecią z kolei noc o tej samej godzinie. Za każdym razem sen jest inny, ale za każ-

dym razem mówi o nadciągającym niebezpieczeństwie. Pomimo iż bardzo się stara, nie może zrozumieć, komu grozi niebezpieczeństwo. I co ona ma z tym wspólnego.

Wstaje i powoli kieruje się do łazienki. Myjąc się, cały czas myśli o tych trzech snach, tak bardzo z sobą powiązanych, czuje coraz mocniej nadciągające niebezpieczeństwo, ogarnia ją paniczny strach. Myśli, gdzie i do kogo może się zwrócić o pomoc; pamięta, że każdy z tych snów skończył się takim samym, optymistycznym na szczęście akcentem. Każde zakończenie mówiło o zwycięstwie, jej zwycięstwie.

W pośpiechu połyka śniadanie i kieruje swe kroki na rozległą, piękną polanę. Tutaj opierając plecy o stary dąb, czuje się jak w objęciach ukochanego dziadka. Delikatny śpiew ptaków uspokaja ją, pozwala całkowicie się wyciszyć i skierować myśli ku nurtującej ją sprawie.

Pogrążona w medytacji widzi, a raczej czuje obecność prababci Weroniki. Wpatrzona w dal widzi duży dąb, ale jednak o wiele młodszy od tego, pod którym siedzi, a przy nim kobietę, którą zna z obrazu wiszącego w pokoju taty. Obok babci stoi wysoki, solidnie zbudowany mężczyzna. Para, wpatrzona w siebie z miłością i troską o siebie nawzajem, nie zwraca uwagi na otaczający ich świat; są tacy szczęśliwi, mocno w siebie wtuleni, szepczą sobie słowa o miłości i wspólnym życiu.

Z pobliskiego stawu podrywają się do lotu kaczki, robiąc mnóstwo hałasu i wyrzucając tym samym Werę z pięknego obrazu. Powoli powraca do rzeczywistości, uśmiechając się do tego, co zobaczyła. Teraz już wie, już zna miejsce, w którym pradziadek oświadczył się swej ukochanej, teraz rozumie, dlaczego tak bardzo kocha to miejsce, to wielgachne drzewo, które w myślach od zawsze nazywa dziadkiem.

Powraca do tematu, który ją tak bardzo niepokoi. Zaczyna krok po kroku analizować swoje sny. Wie, że dzięki temu będzie mogła zrozumieć, kto jest w niebezpieczeństwie, i wtedy znajdzie sposób na uratowanie go. Cofa się do snu pierwszego; słyszy znowu mocny wiejący wiatr, widzi nadciągające chmury. Jest południe, ale robi się prawie tak ciemno, jak po zachodzie słońca. Sen prze-

niósł ją do sypialni, którą dzieli z ojcem, potem do stadniny, ale wszędzie jest sama. I wszędzie słyszy ten świszczący wiatr. Wychodzi na podwórkę i widzi, jak z pobliskiej łąki trąba powietrzna zabiera ustawione w kopy siano.

Sen drugi rozpoczął się na moście; stała pośrodku i chciała przejść na drugą stronę rzeki. Nagle zaczął wiać wiatr, kołysząc mostem w tę i z powrotem. Pomimo południowej pory spostrzegła, że zrobiło się prawie ciemno. Przerażona myśli, że te chmury nie wróżą nic dobrego i że powinna jak najszybciej przejść przez most. Spogląda pod nogi i widzi, że brakuje w nim wielu desek. Na szczęście nie wszystkie są wyłamane, ale niebezpiecznie tu i trzeba będzie bardzo uważać. Przechodząc przez most, widzi gdzieś z boku, jakby zawieszoną w powietrzu, znajomą postać barczystego mężczyzny i słyszy mocny, świszczący oddech wiatru.

Sen trzeci był najbardziej pogmatwany, pełen grozy. Znowu ten sam mocny wiatr, znowu, pomimo południowej pory, zrobiło się prawie ciemno. Widziała wskazówki jakiegoś zegara, które raz pokazywały godzinę dwunastą, a w następnej sekundzie już piętnastą. Widziała wielkie drzewo, spadające nagle, widziała jeźdźca na koniu i słyszała. . .

– O Boże, dobry Boże, ten jeździec miał na sobie bluzę najukochańszej mi osoby, mojego tatki. . .

Myśli gorączkowo tłuką się jedna o drugą, wracają jeszcze raz do snu, ręce zaciskają się same, usta jak w gorączce powtarzają modlitwę: zdrowaś Mario, łaski pełna. Matko Boska, zlituj się, pomóż mi zrozumieć, szybciej, błagam Cię, szybciej.

Jak szalona zaczyna krążyć dookoła dębu. Ogarnia ją panika. Czuje, że nie ma już dużo czasu, jej umysł pracuje na wysokich obrotach, ale w panice nie potrafi pozbierać faktów. Przerażona woła, krztusząc się łzami:

– Babciu, gdzie jesteś, rany boskie, gdzie jesteś. Chodź tu, ja nie wiem, co robić, nie wiem, nie wiem.

Opiera głowę o pień drzewa i przytula się do niego jak do najlepszego przyjaciela. Wydaje się jej, że poprzez szelest liści słyszy głos kobiety:

– Jestem przy tobie.

Oddała się kilka kroków od pnia i przez ułamek sekundy widzi na nim twarz prababci. To tylko sekundy, ale czuje się o wiele mocniejsza. Przywołuje w myślach znachorkę i prosi:

– Pomóż mi, masz tyle doświadczenia.

Jeszcze raz od początku analizuje każdy szczegół ze snu. Najpierw przypomina sobie, że w snach zawsze było południe, i ta liczba. Dwunasta i zaraz piętnasta, a więc to może mieć związek z połową miesiąca. Bluza, ta bluza, wczoraj wisiała na sznurze. Och, Matko Przenajświętsza, to dzisiaj już, to dzisiaj. Jest połowa miesiąca i tatko wychodząc z pokoju, powiedział, że musi wziąć z sobą bluzę, bo łamie go w kościach, a więc pewnie będzie deszcz. Ale ten koń był koloru czarnego, tato ma teraz tylko jednego w takim kolorze i nie jeździ na nim. Trochę się uspokaja, myśląc, że może to nie o niego chodzi. Myśli intensywnie, dalej starając się przywołać jak najwięcej obrazów ze snu. Jak wyglądało to drzewo, które spadało, gdzie to było? Znowu siada i stara sobie przypomnieć, szczegół po szczególe, gdzie widziała takie właśnie drzewa. Małe krzewy, jakaś łąka, pasące się krowy i... Jest! Jest! Znalazła, wie już, gdzie ono jest, i następne dwa prawie identyczne, które widziała w tle walącego się. Ale to daleko stąd, po co tatko miałby tam jechać? One nie są na żadnej z tych tras, którą mógłby wracać do domu.

Musi natychmiast jechać do stadniny, dzisiaj nie będzie szkoły, trudno. Ma coś ważniejszego do zrobienia. Zaczyna iść szybciej, coraz szybciej, wreszcie puszcza się biegiem, coś lub ktoś każe jej się pośpieszyć.

Wpada zdyszana do domu i spogląda na zegar. Ze strachem stwierdza, że jest już po jedenastej. Pędem przebiega kilka stopni i wpada do swego pokoju, aby zmienić ubranie. W ciągu kilku minut jest gotowa do drogi, zabiera kostki cukru dla swego konia i wybiega w pośpiechu do stajni. W przedpokoju mija matkę, która widząc jej pośpiech i strój do konnej jazdy, uśmiecha się pod nosem; przypomina sobie sen, który miała dzisiaj. Widziała w nim spadającą gałąź wielkiego drzewa, konia, Werę i nad tym wszystkim jakąś aureolę świętości.

Prosto do nieba pójdzie ta smarkula. A niech sobie idzie, gdzie

chce. Byleby mi z oczu zeszła – myśli z radością, podbudowana snem.

Wera pędzi na łeb na szyję do stadniny, prosząc o pomoc Matkę Boską i swoich opiekunów. Droga dłuży jej się niemiłosiernie. Jej ciało drży jak w gorączce. Boi się, że będzie za późno, że może nie zdążyć. W oczach pojawiają się łzy bezsilności i strachu. Wpada na podwórko i nie odpowiadając na dzień dobry, pyta natychmiast o ojca.

– Wyjechał przed chwilą – słyszy odpowiedź.

Wpada do środka sprawdzić, czy czarny koń stoi na swoim miejscu, aby upewnić się, że sen nie mówił o ojcu. Przebiega szybko pierwsze boksy i z przerażeniem zauważa, że koń ojca stoi w jednym z nich, przechodzi dalej i widzi pusty boks czarnego. Zawirowało jej w głowie, zakręciło nią, ale wie, że nie ma czasu. Natychmiast wybiega z powrotem na podwórko, i tutaj czeka na nią następna niespodzianka. Pomimo południa nagle zrobiło się szaro. Pracownik stadniny kręci głową, patrząc w niebo. Prosi ją, aby została, jego słowa, słowa doświadczonego starszego człowieka napawają ją lękiem; on też mówi o wielkim huraganie, o burzy, która nadciąga nie wiadomo skąd.

Wsiada na swoją Amandę i kieruje się tam, dokąd pojechał ojciec. Już po pierwszym kilometrze dopadają ją pierwsze krople deszczu. Wiatr jest coraz mocniejszy, na szczęście wieje w plecy i nie utrudnia jej drogi. Właśnie wspięła się na górę i przystanęła, aby przyjrzeć się okolicy. Z przerażeniem zobaczyła w dolinie ojca, który zsiadł z konia i przygląda się jego nodze. Podnosi wzrok wyżej i widzi, że ojciec stoi bardzo blisko starego, ogromnego drzewa. Puszcza się galopem w dół, ale zejście jest pełne ostrych kamieni. W dodatku wiatr się odwrócił i wieje teraz prosto w twarz. Musi zwolnić, nie może ryzykować. Zjeżdżając w dół, stara się przypomnieć sobie, co jeszcze było w jej snach, prosi o pomoc i naprowadzenie. Jej uszy wypełniają słowa babci:

– Ręce, twoje ręce, twoja myśl, twoja wiara. W nich dzisiaj twa siła... w nich siła, siła, siła.

Próbuje krzyczeć do taty, aby oddalił się od drzewa, ale nie może wydobyć z siebie głosu, wiatr wciska jej słowa z powrotem

do gardła. Jest już bardzo blisko ojca, ale ten nie widzi jej, pochylony nad nogą konia. Kątem oka widzi grupkę ludzi nadjeżdżającą z naprzeciwka. Uśmiecha się z radością, że już nie jest sama, że w razie niebezpieczeństwa pomogą, i w tym momencie słyszy krzyk, który wiatr przywiał w jej stronę. I ona, i ojciec odwracają się w kierunku drzewa, ale jest za późno, za późno. . .

Pomimo przeraźliwego huku wiatru słychać wyraźnie pękające drzewo; jęk, jaki temu towarzyszy, świdruje w uszach. Wszyscy widzą ogromną gałąź, spadającą wprost na Józka. Jeźdźcy, zamarli z przerażenia, obserwują wydarzenie ze straszną bezsilnością i rozpaczą; są tak blisko, ale jednak za daleko. Widzą twarz mężczyzny, który zdążył dostrzec, że małej nic nie grozi, spostrzegają kamienisty spokój na jego obliczu. Zeskakują z koni, gotowi natychmiast do podniesienia konaru. Patrzą z przerażeniem na drzewo, z którym dzieją się dziwne rzeczy. Oderwana gałąź nie spadła, zawisa w powietrzu, tuż nad głową Józka. Przenoszą szybko spojrzenie na Wierę i widzą jej ręce wyciągnięte przed siebie, czują siłę niedźwiedzia bijącą od niej, widzą jej wzrok wpatrzony rozkazująco w drzewo. Ich nogi same wyrrywają się do przodu, ręce porywają skamieniałego mężczyznę, i odsuwają na bezpieczną odległość. Koń uderzony w zad wyrrywa się do przodu. Gałąź z hukiem spada na ziemię.

Wiatr szaleje ze zdwojoną siłą, wywracając z korzeniami małe drzewka, ale jeźdźcy są już bezpieczni, znaleźli schronienie w pobliskiej pieczarze. Wszyscy opowiadają na przemian jeden przez drugiego o tym, co widzieli, i o swoim wielkim lęku. Poklepując raz po raz Józka, patrzą z podziwem na dziewczynkę śpiącą w ramionach ojca, tak bezbronną w tej chwili.

Znachorka przez okno swej chatki obserwuje niebo. Przestało padać, wiatr się uspokoił, teraz wyczekuje znaku. Jej serce kołacze niespokojnie, ale jest w nim wielka pewność, że mała sobie poradziła. Jeszcze teraz widzi swego mistrza, obraz ze snu i słyszy jego słowa: Tęcza, tęcza, dwie tęcze. . .

Dom z wieżyczką

Monika Daszkowska

Był wtorek, czternastego października. Karol, jak zwykle, wstał o czwartej. Umył się. Wypił łyk herbaty. Pościelił łóżko. Zmówił pacierz. Zrobił czterdzieści pięć pompek i usiadł. Potem się położył. Wpatrzony w małe okienko, obserwował, jak jaśniej niebo. Niby zwykły dzień. Coś mu jednak nie grało. *Co jest, kurtka na wacie?* – myślał sobie. *Jakieś motyle fruwią mi w brzuchu. Chce mi się do kibla.* Zeskoczył z łóżka i schował się za kotarkę.

– Eee, Karol, doliniarz bachnął się na struny. Piguła nie zdążył i młody wykorkował – krzyknął Benek.

To już dziesiąty, odkąd tu jestem – pomyślał Karol. *Dlaczego nie czekają. Odchodzą sami, za szybko...*

Wyszedł zza kotary i wrócił na swoją prycę. Benek coś jeszcze mówił. Karol nie słuchał. *Mam dosyć* – pomyślał. *Jak dobrze, że to już dzisiaj...*

★ ★ ★

Karol miał dwadzieścia sześć lat. Ostatnie pięć spędził w więzieniu za kradzieże i rozboje.

– To dobry chłopak, ale wpadł w złe towarzystwo – tłumaczyła go matka i poniekąd miała rację.

Karol od dziecka był spokojny, trochę nieporadny, nieśmiały. Z domu zapamiętał, że matka była poddana ojcu, ten dziadkowi, a najstarszy z rodu pierwszemu sekretarzowi. Karol nie miał wyjścia. Też czuł, że musi być komuś poddany. Okazja natrafiła się, kiedy chłopak wraz z rodzicami i dziadkiem przeniósł się do

bloków socjalnych. Choć nie byli rodziną patologiczną, nie mieli wyjścia. Nieporadność doprowadziła ich do biedy. Nie mieli na czynsz. Matka zarabiała grosze, szyjąc rękawice robocze w domu, a ojciec stróżował na budowie. Raz coś z niej ukradziono i zwolnili go. Zbierał puszki po śmietnikach i makulaturę. Na chleb mieli z dziadkowej renty. Właściwie tylko na to starczała.

Karol miał wtedy trzynaście lat. Codziennie po szkole siadał na schodach wejściowych do bloku i obserwował Buca. Miał chłopak posłuch. Zaledwie piętnastoletni, a budził podziw. Pił, kradł, bił. Imponował małodatom z osiedla. Karol, choć nieśmiały, wkreślił się do jego gangu po tym, jak ujął się za sąsiadką. Bronił jej przed policjantem. Ten przyczepił się do starej Zośki, pijaczki spod czwórki. Oskarżył ją o kradzież. Karol wiedział, że pije, ale żeby ukraść, to nie. Tym sposobem zdobył szacun u kumpli z podwórka.

Pierwszy raz, na próbę, ukradł coca-colę z osiedlowego sklepu. Ze strachu aż się posikał. Potem było już łatwiej. Kradł słodczyce z supermarketów, radia samochodowe, a w końcu pieniądze. Policja często zaglądała do jego rodziców. Matka chlipała wieczorem do poduszki. Ojciec nie mówił nic, a dziadek przyjmował kradzione pieniądze. Dawał synowej, mówiąc, że obstawia wyścigi konne i wygrywa. Karol nie był więc na wskroś zły. Wiedział, że gdzieś za murami jego osiedla jest świat pełen luksusu. Kochał swoich nieporadnych rodziców i obiecywał sobie po cichu, że kiedyś zbuduje dla nich piękny dom, taki z wieżyczką z czerwonej cegły. Marzenia musiały jednak poczekać...

Karol raz się zdenerwował. Na przystanku podszedł do starego listonosza. Założył kominiarkę i zażądał pieniędzy. Mężczyzna bronął torby, jak tylko mógł. Zaczął wyzywać Karola i jego rodzinę. A że chłopak miał kompleks niższości, słowa raniły go bardziej niż ciosy. Kiedy usłyszał: „Twoja matka to zdzira”, nie wytrzymał. Przyłożył listonoszowi i uciekł z torbą. Dowiedział się na przesłuchaniu, że złamał mu szczękę. Dostał pięć lat. Udowodnili mu inne przestępstwa.

Trafił do dwuosobowej celi. Zamieszkał z grypserem Benkiem. Sam nigdy nie grypsował. Powód był prozaiczny. Nie mógł zapamiętać, co znaczy co. Na początku miał problemy w związku

z tym, ale w końcu współwięźniowie uznali, że jest przyglupem, i dali mu spokój. To było mu na rękę.

Przez pięć lat Karol doskonale poznał świat, o jakim dotąd z wypiekami na twarzy opowiadali sobie jego kumple z gangu. Na początku czuł się ważny. Potem, gdy zobaczył twarz matki podczas widzenia, zrozumiał, że zrobił źle i chce się zmienić. *Przecież nie jestem taki głupi* – pomyślał kiedyś. Odtąd ta myśl towarzyszyła mu już zawsze.

Było jeszcze coś. Karol wciąż miał marzenie. Chciał wybudować rodzicom dom z wieżyczką z czerwonej cegły. W więzieniu dokończył zawodówkę. Miał fach w ręku. Był murarzem. Czasami, pod eskortą strażników, wyjeżdżał gdzieś na budowy, zwłaszcza państwowych obiektów. Klawisze polecali go, bo nie sprawiał kłopotów. Karol, po latach, poszedł też do spowiedzi. Kapłan więzienny rozmawiał z nim dwie godziny. Nigdy dotąd nikt nie poświęcił mu tyle czasu. Zaczął się modlić...



Czternastego października, punktualnie o godzinie dziesiątej, otworzyły się drzwi celi.

– Och, Karol! Wychodzisz dzisiaj na słoneczko – rżał klawisz.

– Koniec garowania. Wyklepujesz! – krzyknął Benek. Po kryjomu otarł łzy. Przyzwyczaił się do chłopaka. Był sporo starszy od Karola i traktował go trochę jak swojego syna, którego nie miał.

Chłopak szedł korytarzem i myślał: *Nigdy, nigdy więcej tu nie wrócę...*

Przed bramą więzienia nikt na niego nie czekał. Wiedział, że matka choruje od dłuższego czasu na zapalenie płuc. Ojciec znowu dostał robotę stróża i pracował na zmiany, a dziadka już nie było. Zmarł trzy lata po tym, jak Karol trafił za kratki. Nie był nawet na jego pogrzebie.

Jesienny chłód dał o sobie znać. Chłopak miał na sobie tylko cienką kurtkę. Kiedy go zamykali, było lato. Mimo to postanowił iść na piechotę. Przed nim było kilkanaście kilometrów. Szkoda mu było grosza na autobus. Nie wiedział, co zastanie w domu.

Szedł przez miasto, chłonał uliczny gwar. Nagle poczuł łzy na policzkach. Nie zorientował się, kiedy zaczął płakać. Płacz przeobraził się w łkanie. Dopadł do ławki na rynku. Emocje, które kumulowały się przez pięć ostatnich lat, wybuchły nagle, w samym centrum miasta. Nie obchodzili go ludzie. Niektórzy podchodzili do niego i pytali, czy mogą mu pomóc. Odganiał ich tylko ręką.

Do domu dotarł późnym wieczorem. Mieszkanie było puste i zimne. Na stole stała niedopita szklanka lodowatej herbaty. Łóżko było nieposłane. Woń potu przemieszana z zapachem leków wdierała się intensywnie do nosa. W lodówce nie było dosłownie nic. Karola przeszły ciarki po plecach. Zapukał do Zośki spod czwórki. Dowiedział się, że matkę dwa dni temu zabrali do szpitala. Było z nią bardzo źle.

– A ojciec... – wołała za nim Zośka. – Karol, ojciec wyjechał, ale dostał dobrą pracę, będzie wam lepiej...

Tego już nie usłyszał. Zabrał swoją letnią kurtkę i popędził do szpitala. Po drodze modlił się, żeby tylko zdążyć. Nie zdążył... Matkę zobaczył w kostnicy. Płakał, zaklinał, przepraszał. Nie był w stanie puścić jej wychudzonej, spracowanej i pożółkłej ręki. Stracił jedyną osobę, na której mu zależało, o której myślał przez ostatnie pięć lat. Wymarzył sobie dla niej lepsze życie.

I nagle wezbrała w nim straszna złość. Wszystkie mięśnie napięły się do granic możliwości. Rozpierała go siła, jakiej dotąd nie znał. W jednej sekundzie znienawidził siebie i swoje życie. Wiedział, że musi coś zrobić. W głowie już układał plan, ale w tej chwili zapragnął biec...

Wybiegł z kostnicy. Biegł przez korytarz, rozwalając wszystko, co stanęło mu na drodze. Ktoś wezwał ochronę. Karol podbiegł do ochroniarza i uderzył go w twarz, potem jeszcze kilka ciosów w brzuch. Mężczyzna upadł, a chłopak pobiegł dalej. Uciekał. Gnał przed siebie. Mijał samochody, ulice, podwórka. Zatrzymał się dopiero przed jakimś kościołem. Dobiegł do ołtarza i rzucił się na kolana. Z jego gardła wydobył się przeraźliwy ryk. Echem rozniósł się po kościele.

– Dlaczegoooo, dlaczegoooo mi to zrobiłeś?! Ty, w którego uwierzyłem, do którego tak żarliwie się modliłem?

Łkał i wił się przed ołtarzem. Wymęczony, w końcu zasnął. Po kilku godzinach znalazł go kościelny. Myślał, że to bezdomny przyszedł się ogrzać. Wypędził go z kościoła.

W nocy zatrzymała go policja. Trafił na dołek. Wiedział już, że nie ma odwrotu. Za to, co zrobił, znowu pójdzie siedzieć.

– Nie wrócę tam, nieeee... już nigdy, nigdy... – krzyczał.

W nocy przyśniła mu się matka. Uśmiechała się do niego. Głaszała go po policzku, tak jak wtedy, gdy był małym dzieckiem. Wziął ją za rękę i poszli razem do domu z wieżyczką z czerwonej cegły...

★ ★ ★

Benek odłożył gazetę. Gardło miał ściśnięte.

– Karol... Karol bachnął się na linę – wymamrotał i zakrył twarz rękami.

Miłość w czasach popkultury

Patrycja Balcerzak

– Zamknij się! Ani słowa więcej, mam już tego dosyć! Słyszysz? Słyszysz?! – wrzasnął na nią, po czym wybiegł, trzaskając skrzypiącymi od dawna drzwiami. Miał je naprawić, ciągle go o to prosiła. Ale sama nie kiwnęła nawet palcem, nijak nie przyczyniając się, aby było dobrze. Ona wołała chodzić na imprezy, bawić się. Studia? Ha, ha, ha, studia...

Marek szybkim, nierównym krokiem przemierzał ulice. Kopał, w co tylko się dało. Lampa uliczna, kosz, wazon kwiatów, których sprzedawca na chwilę się oddalił... Nic nie uchodziło uwadze rozwścieczonego młodego studenta. Nic, co mógłby zniszczyć, sporniewierać, zabić... Zamiast niej...

Zresztą, co on sobie myślał?! Że będzie jedyny? Że kiedy ONA dołączy do niego, wszystko będzie się układało idealnie, że gdy ONA pozna nowych ludzi, jej fascynacja pozostanie? Głupek z niego! Takie jak ONA zawsze będą głodne wrażeń, nieznanych horyzontów, miejsc, do których dla własnego dobra nie powinien mieć wstępu... A jednak, stało się. Dowiedział się. Aż za dużo.

A zdrady nigdy nie wybaczy.

Chód nie wystarczał, zaczął więc biec. Wysiłek fizyczny poprawiał mu samopoczucie jak nic innego. Pot, zmęczenie, to poczucie wyczerpania ciała i wzmocnienia ducha. Lepsze niż napój energetyczny. Biegł, biegł, biegł... W końcu zapadł zmrok, a ludzie przestali zerkać na niego ciekawie.

Nie zauważył nawet, gdy stanął. Obrócił głowę w prawo, gdzie znajdował się nowo otwarty sklep ze sportowym obuwiem. W szy-

bie odgradzającej witrynę od wieczornej listopadowej rzeczywistości zobaczył twarz mocno zarumienioną z wysiłku, ale nadal piękną. Dłuższe włosy nieokreślonego koloru, coś pomiędzy czekoladowym brązem a miodowym blondem, opadały na pokryte potem czoło. W piwnych oczach młodego mężczyzny migotały nieznane mu dotąd iskry. Zgodnie ze spontanicznie podjętą decyzją, wszedł do obuwniczego. Puma, Adidas, Nike. . . Nike, jego ulubiona firma. Sięgnął po rozmiar czterdzieści trzy.

– Pomóc panu w czymś? – zapytała z hollywoodzkim uśmiechem prześliczna ekspedientka.

Początkowo zamierzał zmrozić ją spojrzeniem, ale było w tej sniadej buzi coś, co go odwiodło od założonego planu. Mulatka przypominała mu Halle Berry, nie tylko ze względu na swą nieprzeciętną urodę, ale przede wszystkim niewinny, a zarazem drapieżny wyraz oczu. Czuł, że to spojrzenie pozwala mu oddalić myśli od niedawno usłyszanej śmiercionośnej informacji. Koi jak aloes. Nie miał powodu, aby odrzucić propozycję szalenię ponętnej, młodziutkiej dziewczyny. Nie miał. Żadnego. . .

– Tak. . . – Z ust Marka wydobył się cichy charkot. Nie słyszał, co mówi. Wiedział, że mówi. Poruszał ustami, wykonywał jakiś wysiłek, ale w jakim celu – nie potrafił określić. Nie miał pojęcia, czy cokolwiek miało wtedy jakiś cel.

– W takim razie, jaka firma i rozmiar pana interesują?

Dziewczyna oparła rękę na kształtnym biodrze. Miała na sobie firmowy dres, idealnie dobrany. Palcami drugiej ręki przesuwiała miarowo w górę i w dół po nowoczesnej szafce, na której ustawione zostały pudełka z czarnym, lśniącym napisem: Nike.

– Interesują mnie wszystkie, byle tylko wcześniej dotykane przez pani piękne dłonie. . . – powiedział zdecydowanie, mimowolnie. Ekspedientka zaśmiała się perłście, zapewne przyzwyczajona do tego typu rozmów. Chwilę później nachyliła się po jakąś parę adidasów, niby przypadkiem uwydatniając swój biust, znajdujący się na wysokości oczu przybysza. Marek uśmiechnął się kącikiem ust, a raczej: kąciaki ust zmusiły Marka do uśmiechu. Działa. Oczywiście, że działa. Jak zawsze. . .

W następnym momencie ekspedientka o imieniu Sara, o czym

informowała klientów metalowa plakietka przypięta do opiętego na jej ciele dresu, podała przystojnemu, brązowookiemu gościowi parę czarno-białych butów marki Nike, o rozmiarze czterdzieści trzy.

– Dobrze wybrałam? Proszę je przymierzyć.

– Idealnie. Ale skąd... – Skąd wiedziała, jaki ma numer buta?

– Jestem uważną obserwatorką – mrugnęła. – Znam ten niedosyt, kiedy ktoś nie dostaje tego, czego chce, więc staram się jak najlepiej... dogodzić... klientowi...

Przez parę sekund Marek ostentacyjnie wpatrywał się w nią, aż w końcu oprzytomniał i uśmiechnął się delikatnie. Przymierzając buty, walczył ze sobą, ale walka ta trwała nie więcej niż parę sekund. *Ona robi, co chce... Kto więc mi broni?*

Wszystko zależało od niego. Nawet seksowna ekspedientka teraz myślała, że jest panią sytuacji. Była w błędzie. On w tej rozgrywce powiedział: *szach* i właśnie przymierzał się do powiedzenia: *mat*.

Sztuka manipulacji?

Rzut okiem na diaboliczną półkę z adidasami. Nagle pomieszczenie wydało mu się przymglone, jakby osnute czerwoną chustą. Których nie ma? Czterdzieści dwa... nie, czterdzieści cztery... Fałszywa próba włożenia stopy do idealnie pasującego adidasa. Podniesiony niewinnie wzrok. Delikatny uśmiech. Celowo przypadkowe dotknięcie dłoni.

– Obawiam się, że noga mi trochę urosła od czasu, kiedy ostatnio kupowałem buty.

– Za małe? – zapytała ekspedientka z nieukrywanym zdziwieniem. Nie była tak głupiutka, za jaką można by ją uważać. Doprawdy, знаła się na swoim fachu. Pomimo całej pewności siebie, dotknięta przez Marka zarumieniła się lekko.

– Niestety... – odparł jeden z jej najprzystojniejszych klientów, posyłając słodki, przepraszający uśmiech.

Na brązowej buzi wymalował się smutek. Znów gładziła miarowo białą szafkę.

– Och... Bardzo mi przykro, ale żeby znaleźć numer czterdzieści cztery, będę musiała pana na chwilę opuścić, mamy świeżą dostawę w magazynie. Chyba że pan przymierzy tę parę? – Jej dłoń powędrowała od szafki w kierunku włosów.

– O nie, nie, nie. Zauroczyłem się nimi. Prawie tak jak panią, pani Saro. – Cały czas lustrował ją natarczywym spojrzeniem piwnych oczu. Był to wzrok niemal zwierzęcy, straszny, a zarazem cudowny. – I chciałbym cię pocałować. Tak namiętnie...

Mimo że był rażąco nietaktowny, zawsze uchodziło mu to płazem. Sara rzuciła mu spojrzenie wyrażające oburzenie, jednak nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Tymczasem nieznane iskry zdążyły już zapalić płomień w jego oczach.

– Chodź ze mną, poszukamy tych butów, którymi się zauroczyłeś – szepnęła uwodzicielsko. Marek słyszał to tak wyraźnie, jakby mruczała mu do ucha. Czuł jej oddech na skórze. Jego oczy bacznie obserwowały ruchy warg obcej znajomej. Powoli pełne usta rozchylały się i zamykały...

Wziąwszy za rękę Sarę, zatoczył się za nią w kierunku magazynku. Krok po kroku, coraz bardziej czerwona przestrzeń stawiała się coraz odleglejsza. Coraz odleglejszy był on. Zaraz, zaraz... W takim razie on tam był? Z nią? Dotykał jej? Jej? Jakim prawem?!

Gdy znaleźli się w końcu błogo odosobnieni w ciemnym pomieszczeniu, nie czekał, aż coś powie. Od razu przywarł do jej aloesowych warg. Ulga. Błogie uczucie. Jego ręce wędrujące po jej ciele, tak idealnie nieznanym, idealnie odległym. Gorący oddech. Mgła. Ubranie na podłodze. Kontrast jej czekoladowych piersi z jego białym torsem. Odkupienie, które spijał z jej ust, jej szyi, jej ramion, jej karku. I w końcu spełnienie. Bezlądnie, bezkompromisowo, bezmyślnie...

Satysfakcja. Nie, żeby mu się podobało. I również, żeby mu się nie podobało. Było mu to całkowicie obojętne. Satysfakcja płynęła z tego, że ONA, znienawidzona przez niego ONA, poczułaby ból. Chciał tego i tylko tego. Gdyby wiedziała. Cierpiałaby. Gdyby wiedziała...

Marek nie miał wiele do ubrania. Szybko narzucił na siebie bluzkę z krótkim rękawem, po czym wybiegł ze sklepu. Na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia. Nie wiedział nawet, kiedy znów zaczął biec. Starczyło mu jeszcze własnej woli na tyle,

aby skierować się w stronę przeciwną do ICH przekłętego mieszkania. Do NIEJ. Później biegnięcie przychodziło automatycznie. Mijał nielicznie spacerujących ludzi, którzy nie zwracali na niego uwagi. Rozmawiali, głośno się śmiali. Chłopak radośnie uczył psa aportować. Para staruszków czule patrzyła sobie w oczy, spacerując po parku. Jacyś przyjaciele, którzy dawno się nie widzieli, z entuzjazmem wymieniali się wrażeniami ze studiów. Tylko grupka dziewczyn oglądających gazetę na ławce podniosła na niego chwilowo wzrok.

Wtem zadzwonił telefon.

Na wyświetlaczu pojawił się zastrzeżony numer. Marek wahał się przez chwilę, jednak odebrał.

– Słucham?

– Dzień dobry – odezwała się kobieta o cierpkim, rzeczowym głosie – z kim rozmawiam?

– A można wiedzieć, z kim JA rozmawiam? – odparł z niesmakiem młodzieniec. Może mu się zdawało, ale usłyszał prychnięcie. Również krótkie i rzeczowe.

– Dzwonię z publicznego szpitala wojewódzkiego w sprawie wypadku Izabeli Łęczykowskiej. Będzie więc pan tak uprzejmy i powie mi, do kogo się dodzwoniłam? Jest to pierwszy z ostatnio wybieranych i dostępnych numerów.

– Marek Kowalczyk. Chło... współlokator Izy – odrzekł bezbarwnym głosem.

– Pani Izabela znajduje się obecnie na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej. Kilkanaście minut temu uległa ciężkiemu wypadkowi samochodowemu. Jej stan jest bardzo poważny, za chwilę znajdzie się na sali operacyjnej. Prosimy więc pana o pomoc, przynajmniej w podaniu numeru telefonu, pod którym można zastać jej rodzinę, musimy dowiedzieć się...

Iskry w jego oczach zgasły.

★ ★ ★

Marek Kowalczyk biegł w kierunku sali operacyjnej. Im więcej szarych, pustych pomieszczeń mijał, tym większa stawała się

pustka w jego głowie. Nie myślał. Biegł, bo tylko to dawało mu nadzieję, że kiedyś nadejdzie wytchnienie, bo tylko to świadczyło o czekającym na końcu wyścigu wypoczynku. Biegł też (a może przede wszystkim?), by nie zamknęła na zawsze oczu z obrazem jego pooranej bruzdami nienawiści twarzy. Egoizm?

Nie. Robił to dla niej, jak każdą rzecz. Nawet te cholerne skrzypiące drzwi... Naprawiłby je. Naprawiłby wszystko, ale... Ale JAK?

Dotarł do przyciemnionej sali, w której leżała. Paru ludzi w białych fartuchach krzątało się wokół stołu, jednak zadziwiająco wolno. Napał zdecydowanie piersią na drzwi, jednak nie zdołał ich otworzyć. Mógł tylko bezradnie patrzeć na anemiczne ruchy profesjonalistów, którzy wiedzieli najlepiej, co mają robić, i nic nie robili. Zaczął walić pięściami w szybę odgradzającą go od nieruchomego ciała poszkodowanej, krzyczeć, ale nikt go nie słyszał. Nikt nie nadchodził. Nie uspokajał. Nie trzymał.

Tymczasem coraz większy mrok zapadał w pomieszczeniu, co zdawało się wcale nie przeszkadzać lekarzom. Tylko biała cera operowanej coraz wyraźniej odznaczała się od szerniałego, gnijącego stołu operacyjnego. Specjaliści nic już nie robili, chodzili tylko wokół nieruchomej postaci, niczym kukły, w jakimś przedziwnym żalobnym orszaku, z twarzami niewyrażającymi żadnych emocji. Marek nie krzyczał już, gardło wydawało mu się zdarte do krwi.

Wtem zapadła całkowita ciemność, na tle której jaśniało ciało Izabeli, otulone białym jak śnieg prześcieradłem. I z przebrzydłej sali wyszedł lekarz, płomiennym wzrokiem wyrażający wolę szatana:

– Ona... odeszła. Przykro nam.

I... zaczął się śmiać! Gromko, wesoło, a trzęsło mu się wszystko: od podwójnego podbródka, po tłusty, straszny brzuch.

– Nie, nie, nie! NIE! – wrzasnął Marek jednym tchem, gwałtownie odsunął diabolicznie roześmianego doktora i wbiegł do sali.

– Izo, Izunieczko, kochana moja, moja śliczna... – szeptał, drżącymi dłońmi delikatnie podnosząc prześcieradło. Wtem oddalił się szybko, z przerażeniem w oczach. To nie była twarz jego kochanej Izuni...

Nieruchomymi, wypadającymi z oczodołów ślepiami patrzył

na niego szerniały trup, gdzieniegdzie zżerany przez białe robaki, pozostawione przez śmierć po jej straszliwych odwiedzinach.

Marek cofał się z przerażeniem, błagał o litość, mimo że trup nawet się nie poruszył. W końcu zaczął tracić oddech, aż do wybuchu dziecięcego, pełnego żałości zawodzenia, które zaraz potem przerodziło się w ciche łkanie.

– IZA! – krzyknął Marek, jednocześnie otwierając oczy. – Izusia. . .

Ciężko oddychał. Kolejny raz. . . a myślał, że już dawno się przyzwyczaił do owych koszmarów, towarzyszy każdej kolejnej niepewnej nocy przy jej boku, na korytarzu bądź przy łóżku – o ile pozwalali na to lekarze.

Czekał. . .

I czekał. . .

I czekał. . .

Nie, nie wiedział na co. Na to, że się obudzi? Że popatrzy na niego jak niegdyś? Wesołymi, zielonkawymi oczami, tak ciekawymi świata i pragnącymi JEGO. . . Oczami przepełnionymi czułością i tą nieprzemogłą chęcią odkrywania coraz to innych obszarów siebie nawzajem, swoich splątanych dusz. . .

Czy na to, że zbluzga, obrzuci go najgorszymi wyzwiskami, po czym chłodno porzuci? Że wyzna zdradę i po raz kolejny pokaże okropny temperament, którego tak się bał i który zawsze tak ogromnie go fascynował? Czy nareszcie zniechęci go do siebie? Raz, a dobrze? Czy tego po niej oczekiwał?

To też nie było TO.

Czego więc jeszcze od niej chciał? Oddał się innej, zdradził – wyrzekł się jej, tak jak i ona jego. Czy nie powinien po prostu odejść? Wszakże zrobił, co miał do zrobienia. Przyjechał do szpitala. Udzielił wszystkich potrzebnych informacji, czym zadziwił większość pielęgniarek. Podał kontakt do rodziny Izabeli. Zaopiekował się nawet jej bliskimi, udostępnił im mieszkanie. Dlaczego więc dzień w dzień od dwóch miesięcy powracał tutaj, pod salę numer czterdzieści trzy? I jeszcze ten numer, ironia losu. . .

– Niech pan już idzie do domu, nie wygląda pan dobrze. – Młoda pielęgniarka położyła mu rękę na ramieniu.

– Ja? Ja się czuję świetnie. – Marek uśmiechnął się do niej blado. Po dłuższej chwili, wypełnionej wymowną ciszą, znów się odezwał: – Niech mi pani powie prawdę, ona z tego wyjdzie? Są jakiegokolwiek szanse, że się w końcu obudzi?

– Zawsze są jakieś szanse. Nie można tracić nadziei. Mieliliśmy pacjenta, który w stanie śpiączki farmakologicznej utrzymywany był przez dwa lata, aż w końcu ciało ni stąd, ni zowąd zaczęło przybierać na sile, szybko się regenerować... i ani się obejrzelśmy, a już biegął po tym korytarzu! Nie można tracić nadziei.

Pielęgniarka uśmiechnęła się pokrzepiająco, ale widząc, że jej starania nie dają żadnych rezultatów, przestała robić dobrą minę do złej gry. Porzuciła specyficzne dla jej zawodu nastawienie, wcielając się na ten czas w rolę zwykłego śmiertelnika. Rysy kobiety złagodniały, wargi opuściły się, a postawa przestała być sztywna. Jakby sflaczała, osunęła się na siedzenie obok Marka.

– Pan nie jest tylko jej współlokatorem. Doprawdy, nie mam pojęcia, dlaczego pan przez cały czas nas wszystkich oszukuje. To widać, że panu zależy na tej dziewczynie, że ona jest dla pana kimś ważnym. Boże drogi, nawet rodzice panny Izabeli nie spędzają pod tą salą tyle czasu co pan!

Marek milczał.

– Więc niech mi pan nie wpiera, że nic nie łączy pana i pani Łeczykowskiej. A kto jak kto, ale JA umiem poznać prawdziwe uczucie, niech pan mi wierzy!

On jednak wstał i spojrzał na pielęgniarkę niechętnie.

– Niestety, tym razem przecucie panią zawiodło. To tylko wyrzuty sumienia. Iza przeze mnie miała ten wypadek – odpowiedział ciekawskiej kobiecie w niebieskim fartuchu i sobie samemu, przekreślając tymi słowami wcześniejsze rozważania.

Spojrzał w lewo, na dziewczynę podłączoną do szpitalnej aparatury, jakże drobną w otoczeniu tych wszystkich groźnych sprzętów. Złość już mu przeszła i ostatnią rzeczą, jakiej dla niej pragnął, była śmierć. Jednakże zarówno śmierć, jak i życie oznaczało tęsknotę za nią. Umarła, jak i żywa będzie dla niego tak samo odległa. Dlatego korzystał z okazji i siedział przy niej, jeszcze zanim otworzyła oczy lub zamknęła je na zawsze, jeszcze zanim całkiem

odeszła. *Ponoć ludzie przebywający w śpiączce czują i słyszą obecność innych osób* – myślał, patrząc na jej żałośnie blade, kamienne policzki. *Mogę więc pożegnać się z nią, bez patrzenia w te jej przewiercające na wskroś oczy, te zadające największy możliwy ból...*

★ ★ ★

Otworzył drzwi mieszkania. Chciał pobyc trochę sam, a JEJ rodzice przebywali teraz w szpitalu. ICH zmiana... Rozejrzał się po pustym, zabałaganionym pokoju. Wgramolił się na kanapę, zdjął sportową opaskę Nike z lśniących, miodowych włosów, po czym sięgnął po laptopa.

Piłka.pl. *Felipe Melo największym niewypałem 2009 roku we Włoszech. Ha, ha! Co za odkrycie! On już parę miesięcy temu o tym wiedział...* Logo Euro 2012 zaprezentowane. Serie A: Sampdoria remisuje z Romą. A teraz poczta. Parę kliknięć, wpisujemy login...

Zanim zdążył wpisać dane do swojego profilu, wyskoczyło: *izka.lęczek* wraz z siedmioliterowym hasłem. Przez długie minuty Marek wpatrywał się w ekran komputera, aż w końcu kliknął OK. Na ekranie pojawiło się konto Izy, wraz z wiadomościami. Tymi, które TAMTEGO wieczoru spowodowały, że Marek wybiegł z domu i stało się to, co się stało. Widział je pierwszy raz od owej kłótni. Kliknął w pierwszą z nich, od Sebastian.kad@vp.pl:

No hey Śliczna.

Nie mogę odrzucić propozycji, którą mi dzisiaj złożyłaś... W końcu się zdecydowałaś, brawo za odwagę!

Zobaczmy się o 20 pod Magnatem. Gwarantuję Ci, że nie pozalujesz...;p

PS Tylko nie wygadaj się przed NIM. Uprzedzę resztę, która będzie nas widziała razem, żeby przypadkiem nic mu nie mówili.

Jej Sebastianek... Gdyby tylko go spotkał, powyrywałby mu te kruczoczarne, kręcone włosy. Zdawał sobie sprawę od początku roku, że coś między nimi jest. Kiedy byli w klubie z jej przyjaciółmi z kierunku, Sebastianek nie mógł się od niej odczepić. Izunia to, Izunia tamto. I ten jego wzrok, jakby chciał ją zjeść. Ale on,

idiota, ufał Izie. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłaby z kimś innym...

Kolejna wiadomość:

Cześć Piękna ;)

Jesteś świetna! Adrian uważa, że nie powinienem Cię wypuszczać z rąk. Tylko mam nadzieję, że myślisz o tym naprawdę, że myślisz o tym poważnie.

Bo ja nie widzę innej możliwości. Ufam Ci.

Tym razem przyjdź od razu do mojego mieszkania. Wykłady chyba możesz sobie odpuścić? ;p Widzę Cię u siebie o 11!!!

PS I nie bój się, że Marek się dowie. Ja już wszystko załatwiłem, dowie się w swoim czasie...

Najchętniej rzuciłby tym laptopem przez okno. Skoro Sebastiankiem nie może... Dziwiąc się swojej głupocie, przeglądał inne wiadomości. Wtem dostrzegł najświeższą, nieprzeczytaną, która datowana była na parę dni po wypadku Izy.

Sebastian.kad@vp.pl pisał:

Izuniu!

Nie odzywasz się w ogóle, nie ma Cię nawet na ćwiczeniach, co się dzieje?

Proszę, odezwij się jakoś, bo Adrian już się niecierpliwi. Nie chcesz chyba, żeby te wszystkie nasze spotkania poszły na marne? Jeśli nie nakręcimy końcówki filmu, tak właśnie będzie... Cały budżet, inwestycje... jak to się nam zwróci? I jeszcze tyle zmarnowanego czasu na próbach, kręceniu scen po 20 x, a wszystko przez to, że naszej gwiazdzie się odwidziało...

I wtedy nie dość, że nasza miniprodukcja i Twoja kariera nie ujrzą światła dziennego, to niespodzianka na tę waszą rocznicę też!

Więc proszę Cię, mała, skontaktuj się ze mną jakoś i chociaż wytłumacz. Jak na razie ręczę za Ciebie przed Adrianem.

PS. Mam nadzieję, że powodem Twoich nieobecności nie są jakieś romantyczne kolacje z tym Twoim pięknym ;p Praca przede wszystkim, a nie! ;)

– O cholera... – wyszeptał Marek, ledwo poruszając wargami. Chwilę później pokój wypełnił się jego radosnym śmiechem. Nie mogąc ustać przez minutę w miejscu, zaczął chodzić w tę i z po-

wrotem po nienaturalnie jasnym pomieszczeniu. Wesołe dreptanie nie ustawało przez kilkadziesiąt minut, a jego sprawca nie mógł się nadziwić zmianą, jaka zaszła w świecie razem z doniosłym odkryciem, którego dokonał.

Śpiewajcie, narody! Ona tego nie zrobiła! Bo ONA TEGO NIE ZROBIŁA!!! Gdyby nastrój młodzieńca podzielany był przez większość populacji, wszelkie konflikty na świecie winny zostać zażegnane, pokłócone rodziny – godzić się, a grzesznicy mieć odpuszczone grzechy, nawet bez skruchy.

★ ★ ★

Zmartwychwstanie. Wydawało mu się, że tego właśnie doświadczył. Że ciągle pozostawał pod jego wpływem. Nieprzemierzona fala energii ocuciła go z otępienia, postawiła na nogi i skierowała w stronę światła. Nie mógł nad sobą zapanować, ciało opamięnało mu drżenie, pełny energii, a zarazem słaby, czuł się lepiej niż kiedykolwiek.

– Boże, dziękuję Ci! – wzniósł oczy ku niebu. – Ale Izka jest w szpitalu... co ja mam zrobić?

Izka jest w szpitalu... Czy jest więc miejsce, w którym teraz lepiej by się czuł?

Pełen irracjonalnego przekonania o tym, że wszystko będzie dobrze, skierował się więc do tego najpiękniejszego miejsca na świecie.

★ ★ ★

– Ach, no tak! Ten Kowalski to rzeczywiście pacan. Do mnie za to miał pretensje za źle założony wenflon! Dasz wiarę?? Też mi pan doktor... Nie dalej niż za miesiąc go zwolnią, kto by chciał pracować z kimś takim!

– Masz rację, Halinka. Albo sam złoży wypowiedzenie? Tylko trzeba by mu w tym pomóc, hi, hi, hi... .

Dwie pielęgniarki z recepcji przerwały rozmowę i zaczęły machać do Marka, który rześko przeszedł obok nich i posłał z pozoru zalotny uśmiech.

– Jezuu... – szepnęła pierwsza „pigula”. – Jakie ciacho z tego Kowalczyka! Szczęściara z tej jego lubej.

– Fakt. Nie dość, że ciało ma wręcz idealne, to jeszcze ten powalający uśmiech. Mmm, aż mi się nogi uginają. Szkoda takiego, marnuje się przy tej wiecznie nieprzytomnej dziewczynie – skwaśliła się druga.

– No wiesz, może niedługo będzie już wolny – uśmiechnęła się na to jej koleżanka. – Chodzą plotki, że mało życia Izabeli zostało.

– Skąd wiesz?

– Od naszego kochanego Kowalskiego! Kiedy jakiś czas temu wydierał się na Ankę, że źle zszyla tego spod czwórki, i jak zwykle zaczął nudny temat o niekompetencji personelu naszego szpitala.

– No, no, rozumiem. I co powiedział dokładnie? – dopytywała się starsza.

– W tym swoim całym monologu poruszył sprawę dziewczyny naszego Kowalczyka: że niby nie poskładali jej tak jak trzeba, że rehabilitacja będzie prawdopodobnie dwa razy dłuższa niż zazwyczaj przez nasze uchybienia, niedokładności; wiesz zresztą, co on zwykle gada. Bądź co bądź, z jego paplaniny wyszło, że ona może w ogóle z tego nie wyjść.

– Ciii... o wilku mowa...

Obok pielęgniarek, niekryjących swojego zdegustowania, przeszedł zdecydowanym, szybkim krokiem czterdziestokilkuletni mężczyzna z niewielką, posiwiłą bródką, szpiczastym nosem i okularami połówkami, śmiesznie zsuwającymi się z nosa. Kiwnął im głową na przywitanie z lekkim, ironicznym uśmiechem, nawet nie czekając na odwzajemnienie gestu.

Marek stał nad łóżkiem Izabeli. Jego kochanej, wiernej Izabeli. Wyglądała jak Królowna Śnieżka. Strasznie blada, jakby w szpitalu zabrali jej połowę krwi, z pełnymi, sinymi ustami i długimi rzęsami, wyznaczającymi dokładnie linie zamkniętych oczu. Głaskał ją delikatnie po policzku. Kruchą, bezbronną... Dziękował, przeproszał i prosił.

– Pan Marek Kowalczyk, jeśli się nie mylę? – usłyszał niski, lekko zachrypnięty głos za swoimi plecami.

– Tak, tak. – Marek uściśnął dłoń doktora.

– Miło znów pana widzieć. No cóż, nie będę owijał w bawełnę. Przyszedłem oświadczyć panu, jaka jest moja diagnoza odnośnie pani Izabeli na najbliższe parę miesięcy, a może nawet trochę dłużej. . .

– Zamieniam się w słuch. – Chłopak wbił brązowe oczy w twarz specjalisty.

– Po pierwsze i najważniejsze, jej stan jest stabilny. Tego musimy się trzymać. Stabilny, a więc w najbliższym czasie będzie żyła.

– . . . w najbliższym czasie będzie żyła. . . co to ma znaczyć? – skrzywił się Marek.

– To ma znaczyć, drogi młodzieńcze – Kowalski uśmiechnął się ze zrozumieniem – że mimo rozległych urazów wewnętrznych mamy szansę ją uratować.

– Szansę. . . czyli jakie są te SZANSE?

– Nieduże. . . Nieduże, ale są. Niech pan się tego trzyma i nam pomaga, jak tylko może.

– Panie doktorze – Marek zwrócił się z pasją do doktora – nie może pan na to pozwolić. Ona. . . ona jest wyjątkowa.

– Nie, panie Kowalczyk. Ona nie jest wyjątkowa. Pani Izabela jest jak każda inna nasza pacjentka, jej życie jest tyle samo warte, co każde inne ludzkie życie – mówił spokojnie, ze skupieniem doktor. – Dlatego musimy dbać o zdrowie wszystkich obecnych w szpitalu pacjentów jednakowo, z taką samą troską i zaangażowaniem. I dlatego również dołożymy wszelkich starań, aby przeżyła. Zrobię wszystko, obiecuję panu, aby ją uratować.

Marek przez dłuższy czas nie spuszczał wzroku z posągowej twarzy Izy.

– Popełniłem błąd. Muszę jej o tym powiedzieć, przeprosić. Nie może odejść, choćby dlatego. . .

Specjalista z dziedziny chirurgii ogólnej, doktor Kowalski, zdjął okulary połówki, z którymi zazwyczaj nie rozstawały się jego oczy, przetarł je trzy razy fartuchem lekarskim, po czym z pobłażliwym uśmiechem skierował się do młodego chłopaka:

– Zdałeś sobie sprawę, że popełniłeś błąd, to już więcej niż połowa sukcesu. Ale jestem pewien, że uzalanie się nad sobą czy kimkolwiek innym nic nie pomoże. Liczy się tu i teraz, szczególnie

w jej przypadku. Na twoim miejscu więc, zamiast płakać w rękaw, byłbym przy niej.

– Ale...

– Nie tylko ciałem. Byłbym przede wszystkim duchem z nią. Nie ze swoimi małostkowymi problemami, ale z tym, co ona przeżywa. A jeśli już chciałbym ją za coś przeprosić, zrobiłbym to nawet teraz. Bo ona żyje, niech pan o tym pamięta, choć może ma coraz mniej czasu, może nie jest w stanie panu odpowiedzieć, może nie spojrzy z ulgą na pańską twarz. Ale potrzebuje pańskiej miłości bardziej niż kiedykolwiek. Miłości, nie uzalania się nad sobą.

Posiwały doktor mrugnął dwa razy na zakończenie, po czym nałożył okulary i wyszedł, delikatnie zamykając drzwi od sali.



Marek nie znał posiwiąłego lekarza w okularach. Widział go może dwa razy w życiu, a mimo wszystko nie miał najmniejszych pretensji, że wtrąca się w jego sprawy. Nie tak jak podczas rozmowy z pielęgniarką po jednej z operacji Izy. Wtedy wściekle, do kości, przeszywała go złość, że ktoś ośmiela się nim dyrygować. NIM, tak zapamiętałym w cierpieniu, zrozumiałym jedynie przez siebie samego.

Teraz rozumiał już. Zrozumiał wszystko.

Ma szansę, że z wypadku uszła z życiem. Stan pacjentki jest stabilny. Ona nadal nie oddycha całkiem samodzielnie. Śpiączka trwać może całe miesiące, całe lata. Obrażenia wewnętrzne były zbyt wielkie, aby w najbliższym czasie się obudziła. Wciąż jest z nami. Leczenie będzie długotrwałe, lecz pokryte przez szpital. Pani Izabela ma niewielkie szanse. Proszę nie nastawiać się zbyt optymistycznie. Zawsze trzeba mieć nadzieję. Wszystko będzie dobrze. Nie jesteśmy w stanie nic więcej dla niej zrobić. Izabela powoli umiera. Te zdania i tysiące innych słyszał przez ostatnie miesiące. Jednak nie ufał żadnemu słowu, gdyż jego świadomość zdeterminowana była głębokim, niewzruszonym przekonaniem, że Izka niedługo się obudzi. Czuł to całym sobą. Z każdym dniem, gdy ścisnął jej rękę, opowiadając aktualne, śmieszne historyjki z uczel-

ni, nabierał coraz to większego przeświadczenia o polepszaniu się jej stanu zdrowia. Jakby wracała z długiej podróży, zdając mu relacje, gdzie jest w danym momencie, jak blisko celu – porzuconego przez siebie w szpitalu ciała. Lekarze jednak nie popierali jego tezy, mówiąc, że stan dziewczyny nie polepszył się ani nie pogorszył.

Jednego z tych długich, szarych popołudni, kiedy nie wiadomo gdzie się podział z nudów, szeptał jej do ucha sprośny kawał, opowiedziany mu przez przeżabawnego kumpla z kierunku. Rechotał jej do ucha jak szalony, niemal się krztusił.

– Daj spokój, myślałem, że umrę ze śmiechu! – wybełkotał ostatkami sił. Trochę śliny kapnęło mu na rękę nieprzytomnej ukochanej, więc czym prędzej przyssał się do jej przegubu, całując czule w ramach przeprosin.

W takiej pozie ujrzał go lekarz, dwie pielęgniarki oraz jakaś Mulatka, idący w orszaku nowego pacjenta. Wprowadzili go szybko do sali, podłączyli kroplówkę, dali parę rad jego towarzysze niedoli, po czym śpiesznie wyszli, aby ratować życie innym biedakom. Na sali została teraz tylko ona i starszy czarnoskóry pan, wyciągnięty na łóżku szpitalnym. Początkowo nie zauważyła obecności innej osoby w pomieszczeniu. Usiadła w milczeniu obok niedawno przywiezionego pacjenta i siedziała tak, osnuta w mroczną aurę smutku, przez dłuższy czas. Przez te wszystkie sekundy Marek przypatrywał się jej puszystym, lśniącem włosom, jej talii, która wydawała się dziwnie znajoma. Ciągłe trzymając Izkę za rękę, zwrócił się do kobiety odwróconej do niego plecami:

– Przepraszam?

Po paru sekundach niepewnie odwróciły się ku niemu prawie czarne, duże oczy Halle Berry, tym razem przyszkłone i odległe. Jakże inna była postawa tej piękności tym razem! I jakież wielkie zdziwienie opanowało Marka, jak wiele wspomnień wyskoczyło z tych ciemnych, nieszczęśliwie znajomych oczu!

– S... Sara? – zapytał równie niepewnie. – Przepraszam, czy my się znamy?

– Taak... – Uroczą dziewczyna zmusiła się do uśmiechu. O ile WTEDY przypominała pewną siebie kocicę, tak teraz była bardziej kotką, którą jakiś okrutny chłopak wrzucił do stawu i która

ledwo uszła z życiem. – A ty to... przedstawiłeś mi się odchodząc jako... pan M.?

– Marek – odpalił poczerwieniały młodzieniec.

I znowu nastąpiło milczenie, jednak tym razem w powietrzu czuć było gęstszą atmosferę. Napięcie rosło z każdą sekundą, poczucie winy wzmagало się do granic możliwości, gotowe wyskoczyć z piersi Marka i wykrzyczeć, jak bardzo było mu wstyd, więc chcąc nie chcąc, chłopak musiał przerwać zjadliwy monolog ciszy.

– Potraktowałem cię jak rzecz.

– Wiem...

– Nie chciałem.

– A ja chciałam.

Spojrzał na nią, lecz ona wzrok miała wbity w dal. Mimo że wyzuta z nadziei, dalej słiczna, kochana, mała, bezbronna. I znowu cisza. Okropna, pochłaniająca wszystko cisza, przy której racjonalne myśli nie miały racji bytu. Taka, jaka przychodzi tylko kiedy za wszelką cenę chcemy coś mówić.

Marek trzy razy otwierał usta i trzy razy je zamykał. Czwarty raz zebrał się w sobie i wybąkał:

– Przepraszam. Ja... zwykle się tak nie zachowuję. I nie jestem dupkiem, choć pewnie teraz tak o mnie myślisz. Nie podałem ci nawet mojego imienia, kiedy o nie zapytałaś! Wykorzystałem cię!

– Nie ma sprawy. Ja ciebie też wykorzystałam.

To zdecydowanie nie była odpowiedź, której Marek mógłby się spodziewać.

– Ale... co... jak...?

– Mając cztery lata, straciłam ojca – zaczęła nagle. Wzrok miała nadal nieobecny, chłodny. – Razem z matką i dziadkiem mieszkaliśmy na przedmieściach, a że matka była przeciętnej urody Afroamerykanką o wykształceniu podstawowym, nietrudno się więc domyślić, że nie znalazła świetnej pracy. – Tutaj Sara uśmiechnęła się uroczo, mimo że sarkastycznie. – Ciężko się mieszkło w warunkach, jakie wtedy mieliśmy. Jedyne, co z tego okresu utkwiło mi w pamięci (większości rzeczy staram się nie pamiętać), to przeżarty stęchlizną koc z dziurami, jaki towarzyszył mi co noc, oraz piski szczurów, gdy dziadek brutalnie je odpędzał. I jeszcze ci

wszyscy mężczyźni, niektórzy obleśni, inni całkiem, całkiem, którzy przychodzili do matki... Pamiętam, że nienawidziłam każdej z ich okropnych gęb. Każdej bez wyjątku, a to dlatego że nie była gębą ojca. A kiedy już do jakiejś się przyzwyczaiłam, kiedy zaczęłam mówić na powrót: tato, okazywało się, że nowy tato z dnia na dzień znikał, traciłam go po raz kolejny. Na początku nie rozumiałam, dlaczego tak się dzieje, jak podrosłam, wszystko do mnie dotarło... Kto zakochałby się w kobiecie, która ledwo zarabia na siebie i ojca, a posiada jeszcze dziecko z poprzedniego małżeństwa? W dodatku która jest... czarna? Bezuczuciowi, ohydni, złowrodzy dranie! Nie mogłam. Nie umiałam na was patrzeć jak na normalnych ludzi. Jedynym mężczyzną, którego kochałam i uważałam za swoje bóstwo, był mój dziadek. – Dziewczyna smutno popatrzała na łóżko, przy którym siedziała. – W każdym razie już od wieku dojrzewania byłam do was nastawiona w określony sposób. Zero emocji, zero przywiązywania się, zero planów. Nie w stosunku do was, odrębnego gatunku... Więc bawiłam się. Od piętnastego roku życia, praktycznie do teraz. Bawiłam. Ale dobre parę miesięcy temu dziadek zawołał mnie do siebie. Powiedział, że widzi, co się ze mną dzieje, że zawsze widział, ale myślał, że wyrosnę, że mi przejdzie, dlatego czekał. I wtedy powiedział też, że... – głos stopniowo jej się załamywał – że już nie ma więcej czasu i poprosił mnie, żeby przestała. Żeby nie raniła sama siebie i... i wszystkich ludzi, którzy chcą mnie obdarzyć u-uczuciem. Bo omijam w życiu to, co jest najpiękniejsze, powiedział... Tak powiedział...

I rozplakała się. Marek pocałował rękę Izki na pożegnanie, po czym podszedł powoli do płaczącej Sary i przytulił ją. Przytulał ją dobre dwadzieścia minut, zanim się uspokoiła. W końcu wytarła swój sterczący nosek o jego rękaw i rzekła:

– On umrze. A ja w dniu, kiedy mi o tym powiedział, poszłam do pracy, udawałam, że nic się nie stało i jeszcze... i jeszcze... z tobą... Jakbym specjalnie sprzeciwiła się jego woli... Ja nie wiedziałam, nie zdawałam sobie sprawy, że on... Bałam się!... A teraz nawet nie mogę mu opowiedzieć o tym, że od tamtej pory naprawdę się zmieniłam! Że mu dziękuję!

– Ale co ty za głupoty gadasz... On jeszcze żyje, nie zapominaj

o tym. I jestem pewien, że cię słyszy – mówił jak do małego dziecka, z dobrotliwym uśmiechem. – I z pewnością jest dumny, że ma taką wspaniałą wnuczkę, która go tak kocha.

Sara spojrzała na niego oczami, w których dopiero co zaschły łzy, po czym wybuchła śmiechem. Ten egoistyczny, zarozumiały chłopak ze sportowego, który nawet nie chciał podać jej swojego imienia, ten wycackany playboy bez krzty hamulców i przyzwoitości teraz pociesza ją, wygłaszając czułe, babcine teksty. Ten drań, który potraktował ją jak rzecz... kochany drań, który teraz zdawał się być jej bliski jak rodzony brat...



– Marek! – wołała Sara. – Marek, wstawaj! Szybko, szybko! Zobacz!

Nieeee, znowu zasnęli w szpitalu! To stało się już rytuałem, odkąd Sara zwierzyła mu się pamiętnego wieczoru, jakiś miesiąc temu. Przychodzili wieczorem do swoich ukochanych (Marek był zawsze wcześniej), siedzieli około godziny przy ich łóżkach, zdając relacje z wydarzeń minionego dnia, cytowali sobie ostatnie diagnozy lekarskie, po czym schodzili na tematy pokrewne, a z czasem coraz to odleglejsze i bardziej wyrafinowane, aż w końcu zasypiali, znużeni rozmową, z głowami obok swych najbliższych.

– Saraa, ciiiiicho bądź, bo jak Kowalski się dowie, że znowu tu zasnęliśmy...

– Ty bądź cicho! Zamiast tego patrz! – Jej głos drżał z podtekstowania.

Marek mimowolnie spojrzał w stronę wskazywaną przez jej palec i jego wzrok spoczął na... dłoni Izy. Dłoni, która się ruszała! Natychmiast zeskoczył z krzesła i przywarł do tej ręki, nie dotykając, jakby w obawie, że wszystko zepsuje, że kiedy jej dotknie, rozplynie się i wyjdzie na jaw, że to kolejny cudowny sen.

– Widzisz to co ja? – spytał, śmiejąc się w głos. – Widzisz to?!

– Widzę, Marek! Ona się budzi! – radowała się razem z nim Sara.

Wtem palec drgnął, po czym zamarł. A wraz z nim serce Marka.

Chwilę później powoli, budząc się z głębokiego snu, powracając z dalekiej podróży, Izabela Łęczykowska otworzyła oczy. Zmęczone, zielone i śliczne oczy. Oczy tak długo wyczekiwane. . .

– Marek. . . – uśmiechnęła się łagodnie, a wraz z nią jej oczy, po czym szepnęła: – Ty naprawdę jesteś tu. . .

– Jestem.

– Wybaczmy sobie wszystko, dobrze?

– Dobrze. . .

Marek całował ją po rękach, po twarzy, po ustach, bardzo delikatnie. Kochał ją z każdą chwilą mocniej, a za razem ciągle z taką samą ogromną, przeogromną, niemalże boską siłą.

– Dobrze, kochanie. . . – rzekł wzruszony, z uśmiechem najuśmiechniejszym na świecie. – Już wszystko będzie dobrze. . .

Iza uniosła wzrok na stojącą za Markiem w oddali bardzo ładną Mulatkę. Chyba skądś ją kojarzyła. Z jakichś opowiadań Marka w jej snach. . . Posłała dziewczynie szczery, życzliwy uśmiech, po czym znów spojrzała na siedzącą przy jej łóżku ukochaną postać i dotknęła obolałymi palcami jej ciepłej skóry.

Bogowie Olimpu

Milena Wiese

Jestem Bogiem. Nie śpię. Ani nie drzemię. Chcielibyście wiedzieć od jak dawna? Też nurtuje mnie to pytanie, na które, niestety, nie znam odpowiedzi. Poszatkowany mózg odmawia przekazu danych. Zastrajkował. I dobrze. Kto w dzisiejszych czasach nie strajkuje? Bez protestów świat współczesny gnieje. Cuchnie gorzej niż bagno. Człowiek uległy jest nikim. Żołnierzykiem. Jednym z wielu w żalosnej kompanii. Egzystuje według prostego, trójskładnikowego schematu, niewymagającego konstruktywnego myślenia. Rozkaz wydany – raz. Wykonanie w trakcie – dwa. Rozkaz wykonany – trzy. Takie życie jest jedynie trwaniem w erze bezmyślnych robocopów.

Nie śpię. Czy obchodzi to kogoś? Myślicie, że nikogo? A właśnie, że nieprawda. Na przykład interesuje tę Staruchę, która mieszka naprzeciwno. Dziś rano znów próbowała mnie umoralniać.

– Chłopcze, jak ty wyglądasz?! Prześpij się trochę. Nie pokazuj się ludziom na oczy! Przynosisz wstyd swojej rodzinie... – lamentowała. Złożyła pomarszczone dłonie jak do modlitwy, a wyblakłe oczy wzniosła w górę. Wierzy, że Boga trzeba szukać właśnie tam, w górze. Naiwna.

– A pani znowu się wtrąca? Nie ma pani własnych zmartwień? Po co to wtykać nos w nie swoje sprawy?! – odburknąłem jej mocno zirytowany. Ale do niej mówi się jak do kamienia. Czasem odośnie wrażenie, że śledzenie cudzego życia i zrządzenie to jej jedyne rozrywki. Przeważnie zahaczy mnie akurat wtedy, kiedy wracam z melanżu.

– Już dawno mówiłam twojej matce, żeby się wzięła za ciebie. To nie słuchała starszej, mądrzejszej kobiety. Teraz ma z tobą same zmartwienia. Tylko włóczyysz się po nocach z tymi gangsterami. I nie śpisz wcale. Bóg musiał mieć ważny powód, żeby pokarać rodzinę tym nieszczęściem. Ale żeby mnie, niewinną starszą kobietę, narażać na takie sąsiedztwo? Za co? Mówię ci, chłopcze, módl się do Boga o przebaczenie. Może cię jeszcze zawróci ze złej drogi. I na Boga, prześpij się! – pieprzyła jak zawsze. Bardziej do siebie. Bo znam już tę gadkę na pamięć. Jednym uchem wpuszczam, drugim wypuszczam.

– Bóg nie śpi, psze pani – odparłem ironicznie. Odwróciłem się do niej plecami i zatrzęsnałem drzwi wejściowe tuż przed nią. Starucha działa na mnie jak dynamit. Niewiele brakowało do gigantycznej eksplozji. Każdemu czasem siada psychika. Nawet Bogu.

– *Jestem Bogiem. Uświadom to sobie. Ty też jesteś Bogiem. Tylko wyobraź to sobie...* – nuciłem pod nosem utwór Paktofoniki. W tych słowach odnajduję swoją dewizę życiową.



Zapamiętajcie – nie ma w tym domu innego Boga poza mną! Dopóki żyję, dopóty będę sam dla siebie Bogiem. Ona chciała załapać moim życiem. Pragnęła ciała, serca, a nawet duszy. Pojawiła się nagle nie wiadomo skąd. I myślała, że może zagarnąć to, co należy tylko i wyłącznie do mnie. Do mnie! Nie mogłem jej na to pozwolić. Bo to, co należy do Boga, jest nietykalne i święte! Chciała zbezczęścić tę świętość. Grzesznica.

Moja Grzesznica. Nie mogę oszukiwać samego siebie. Prawda jest taka, że brakuje mi jej. Ale cóż miałem uczynić? Nie mogłem jej zatrzymać. Dwóch bogów pod jednym dachem to za wiele. Politeizm jest nie do pomyślenia w mojej prywatnej kulturze! Ten ciężki grzech wyróciłby królestwo, które sam stworzyłem, jak domek z kart. Gdy do rządzenia zabiera się więcej niż jedna osoba, to wtedy życie staje się rozgrywką iście polityczną. Zakłamaną i nieuczciwą. Ten, który zagarnie więcej dla siebie, wygrywa.

– Znowu wychodzisz z tymi idiotami?! Wracasz do domu nad

ranem, nie śpisz, nie jesz, nie mówisz prawdy, gdzie jesteś. Jak długo mam znosić tę sytuację?! Chcę cię mieć dla siebie, a nie dzielić się tobą z pierdolonymi ćpunami! Myślisz, że nie wiem, co tam wyprawiacie?! Gdzie jest ten Olimp, w którym przesiedziałeś wczoraj całą noc?! – krzyczała zdenerwowana, wprawiając w drżenie mą boską naturę.

– Skąd wiesz o Olimpie? Czytasz moje SMS-y? Mówiłem ci tyle razy, nie dotykaj moich rzeczy! – uniosłem się. Odniosłem wrażenie, iż znalazłem się pośrodku politycznej areny.

– Przykro mi, że musiałam posunąć się do tak nieuczciwych metod, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tobie. Ale zrozum – zależy mi na tobie. A ty oddalasz się ode mnie. Zamiast spędzać wieczory w moim towarzystwie, włączysz się po nocach. Nie mam innego wyjścia, odchodzę. Mam już dość tej chorej sytuacji. Nie będę uczestniczyć w twoim upadku. Potrzebujesz pomocy specjalistów! Widziałeś się w lustrze? Kiedy ostatnio spałeś? – mówiła, łkając żałośnie. Jej piękne, szafirowe oczy szklily się od łez. Lecz te łzy przestały działać na mnie już dawno. Manipulatorka się znalazła!

– Bóg nie śpi, kochanie. Droga wolna – odparłem opanowanym tonem.

Patrzyła na mnie zaskoczona dłużej niż to konieczne. Pewnie liczyła na to, że będę próbował ją zatrzymać. I nie pozwolę odejść. Lecz Bóg nie prosi o łaskę. Bóg sam w sobie jest łaską. Odeszła.

Odeszła i zostawiła mnie z pytaniem trapiącym mój umysł od jakiegoś czasu. Od ilu dni nie śpię?!

★ ★ ★

Czy Matka naprawdę jest siwa jak gołąbek, czy tylko moje oczy nie dostrzegają już barw? A może jedno i drugie? Gdy nie śpisz od dłuższego czasu, wzrok zaczyna strajkować. To oczywiste. Wtedy nie zastanawiasz się już, czy założysz bluzę niebieską czy może zieloną. Wszystko ci jedno. Nie potrzebujesz tego barwnego chłamu. Najistotniejsze jest, że rozpoznajesz biel. Biel to świętość w najczystszej postaci. Biel jest nieodzownym elementem te-

go szaleńczego wyścigu. Maratonu, który ukończą najodporniejsi – Bogowie Olimpu.

– Osiwieję przez ciebie całkiem, synku. Ta Starucha znowu dzwoniła do mnie. Musisz ją zaczepiać?! To starsza i schorowana kobieta, daj jej spokój. Potem jestem zmuszona wysłuchiwać jej narzekań. – Matka zaczęła mi truć, jak tylko przekroczyła próg mojego królestwa. Po zatrzaśnięciu drzwi skierowała się do kuchni. Nie wytrzymałaby, jakby nie sprawdziła, czy jej synek dobrze się odżywia. – Dlaczego masz w lodówce takie pustki? Piwo i kawałek starej szynki?! Cuchnie od niej niemiłosiernie! Czy ty w ogóle coś jesz?

– Owszem. Danie szefa kuchni, rosół z paczki. Niebo w gębie... – odpowiedziałem ironicznie, ale i pełen dumy, gładząc się po wklęśniętym brzuchu. To jedyny artykuł spożywczy, który ostatnio jadam. I przechodzi mi gładko przez gardło. O artykułach chemicznych wołałem jej nie wspominać. Bo jeszcze straciłaby resztkę tych siwych włosów.

– Nazywasz to jedzeniem? Nic dziwnego, że tak marnie wyglądasz! Oczy podkrążone, twarz cała w wypryskach, nieogolony, w przepoconych ubraniach. Nie dbasz o siebie, synku. Wyglądasz jak wrak człowieka! Zostają na parę dni... Muszę się tobą zająć, zanim zmarniejesz całkiem – powiedziała, a moja skrzywiona mina mówiła sama za siebie. Tylko nie to! Nie Matka! Nie teraz, gdy meta jest już tak blisko.

– Nie ma mowy. Nie jestem dzieckiem! – zaprotestowałem głośniejszej, niż zamierzałem.

Matka spojrzała na mnie przerażona. Musiałem ją jakoś uspokoić, dlatego zacząłem mówić dalej bardziej opanowanym tonem:

– Mamo, to nie jest tak, jak myślisz. Może faktycznie zaniedbałem się ostatnio. Ale mam na głowie sporo nauki. Brakuje mi czasu na myślenie o jedzeniu. Przecież chcesz mieć wykształconego synka, prawda? Jeszcze będziesz ze mnie dumna.

Położyłem przepoconą i siną dłoń na jej ramieniu. Dawniej ucałowałbym matczyne policzki. To zawsze działało. Ale coś powstrzymało mnie. Boska natura dawała o sobie znać. To ja jestem panem. Panem swego życia, losu, tego mieszkania... Wszystkiego! Nawet Matka musi się podporządkować.

– Zrozum, martwię się o ciebie. Wykształcenie jest ważne, ale nie kosztem twojego zdrowia, synku. Chyba ostatnio nie sypiasz za wiele. Nie można tak się obciążać nauką.

Spojrzała na mnie wyraźnie zaniepokojona. Jej smutne oczy zaszkliły się, a po policzkach popłynęły strużki łez. Dawny ja otarłby matczyne łzy. Ale dawny ja już nie istnieje. Kobiety to manipulatorki. Wylewają morze łez, a mężczyźni nabierają się naiwnie, że w tych łzach mogą zatonać. I pędzą im na ratunek. Obecny ja nie ulega manipulacjom. Nawet Matki.

– Nie masz powodów do zmartwień. Wszystko jest w porządku. Ta Starucha widzi wszędzie zło, tylko nie u siebie – odparłem już lekko podenerwowany.

– Dobrze, odpuszczę ci teraz. Ale jak przyjadę następnym razem, chcę cię widzieć wyspanego. I lodówka ma być pełna. A gdzie jest twoja dziewczyna? Nie widzę jej rzeczy. . .

Że też musiała sobie o niej przypomnieć.

– I już nie zobaczysz! Bóg w tym domu może być tylko jeden – odburknąłem stanowczo. Nie ma już Grzesznicy. Po co w ogóle o niej wspomniała? W moim królestwie jest to temat tabu.

– O czym ty mówisz, synku?! Jaki Bóg? Nie wymawia się imienia Pana Boga nadaremno. To była taka miła dziewczyna, co się stało? Myślałam, że w końcu się ustatkujesz. Że jeszcze dożyje twojego ślubu. I doczekam się wnuków. . . – zaczęła lamentować.

Z wiekiem Matka dziwaczeje. Ani się obejrzę, a będzie taka jak ta Starucha.

– Co za bzdury pleciesz?! Ślub, wnuki? To dobre dla maluczkich człowieczków. Mam ambitniejsze plany życiowe! – uniosłem się. Matka już zaczynała działać mi na nerwy.

– Synku, co się z tobą dzieje?! Nie poznaję cię. . .

Patrzyła na mnie zbolalabym wzrokiem. Znów próbowała wziąć mnie na litość. Szkoda jej zachodu.

– Nie masz czasem za dwadzieścia minut autobusu? Wracaj do domu i nie martw się o mnie. Jestem już dużym chłopcem i wiem, co robię.

Chciałem jak najszybciej się jej pozbyć. Nie miałem ochoty wysłuchiwać dłużej żalów i pretensji.

– Do czego to doszło? Rodzony syn wypędza mnie z mieszkania! Tak się odwzięczasz za te wszystkie lata wychowania?! Dobrze już, dobrze, wychodzę. Zrób tylko jedno dla mnie. Prześpij się...

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale musiałem jej przerwać. Ziritowała mnie na maksa.

– Kurwa, co wy wszyscy macie z tym spaniem?! Bóg nie je, nie żeni się, nie ma dzieci, a przede wszystkim nie śpi!

Straciłem panowanie nad sobą. Wykrzyczałem jej to prosto w twarz i wypchnąłem za drzwi, które zatrzasnąłem z hukiem. Dawny ja miałby wyrzuty sumienia. Zatrzymałby ją. Powiedziałaby do niej: mamusiu, przepraszam.

Obecny ja nie odczuwa skruchy.

Matka wyprowadziła mnie z równowagi. Jak tylko pozbyłem się jej, wyłożyłem się wygodnie na sofie i włączyłem sobie ulubiony utworek Paktofoniki. Jeden z nielicznych, który działa na mnie tak bardzo pozytywnie i podbudowująco.

Mam jedną pierdoloną schizofrenię. Zaburzenia emocjonalne. Proszę puść to na antenie Powiem ci, że to fakt. Powiesz mi, że to obciach. Pierdole cię. I tak rozejdziesz się po łokciach. Bo ja jestem Bogiem. Uświadom to sobie. Słyszysz słowa, od których włos jeży się na głowie. O rany, rany. Jestem niepokonany... – z głośników sączyły się słowa boskiej pieśni.

Słowa, które stały się moją Biblią.

★ ★ ★

Posiedzenie na Olimpie o standardowej porze. Nektar załatwiony, zabierz spręt. Zeus.

Odebrałem SMS na wykładzie z filozofii. Powieki, które jeszcze przed momentem mimowolnie opadały, teraz otworzyły się szeroko, ukazując błysk podniecenia na gałkach ocznych. Sen był blisko. Ale nie poddałem się. Zaraz po wykładzie zamierzałem udać się w umówione miejsce. Dalej zabawiać się w Boga. Maraton trwał. Igrzyska olimpijskie rozpoczęte jakiś czas temu, wciąż nie pamiętałem kiedy, teraz wydawały się niekończącą się i ekscytującą przygodą. Choć wyczerpującą. W głowie miałem ciąg nieposkładanych

myśli. Bóg – sen – Starucha – sen – Grzesznica – sen – Matka – sen – Filozof – sen – Olimp – sen – meta... Sen przewijał się w pulsującej bani niezdolnie za często. Lecz pomimo tego nadal nie nadchodził. Jak przystało na przykładowego maratończyka, walczyłem. Konsekwentnie zmierzałem do mety.

Z rozmyślań wyrwał mnie głos niemiłosiernie drażniący umysł. Ale zirytował mnie nie tyle ton tego głosu, co treść informacji, którą przekazywał.

– Świat ludzki jest mniej wartościowy niż boskie królestwo. Jest ruchomy, niedoskonały. Jednak poprzez idealne kształty zbliżony do boskiego. Istotnym elementem poglądów Platona jest dualizm, czyli dwoistość bytu. Głosił wiarę w duszę i ciało, w byt idealny i byt realny.

Zgarbiony starzec – Filozof – stał na podwyższeniu pośrodku auli i wygłaszał dziwne teoryjki. Zbulwersował mnie. Nie byłbym sobą, gdybym nie zabrał głosu w tym właśnie momencie.

– Sugeruje pan, że ludzie są mniej wartościowi niż jakiś tam Bóg Platona? – grzecznie spytałem. Lecz potwór w moim wnętrzu już szykował się do ataku.

– Nic nie sugeruję, wyjaśniam jedynie poglądy wielkiego filozofa, jakim był Platon. Może odniesie się pan do jego teorii? – Poprawił na nosie okulary grubości dna od słoika.

Filozof prowokował mnie do dyskusji? Czemu nie? Lubię takie wyzwania. Czułem, jak pot zaczął zraszać moje posągowe ciało. Odrobina adrenaliny zrobiła swoje. Przetarłem dłonią cuchnące kropelki, zbierające się na czole. Następnie wstałem z miejsca. Zamierzałem głośno i dosadnie wyrazić swoje zdanie.

– Przecież to jest stek bzdur! Bogiem może być każdy. Od człowieka zależy to, czy chce być sam sobie Bogiem, czy też stać się żalosnym wyznawcą cudzych ideałów. Człowiek odpowiada za swoje czyny. Jest przyczyną ruchu. Wszystko, co się dzieje wokół nas, jest wprawione w ruch przez nas samych. To nie sprawa wymyślnego Boga, że życie się pieprzy i wali. A ludzie mają mentalność zwałać całą winę na siłę wyższą. Wierzą w te kłamstwa, bo tak im łatwiej trwać w tym absurdalnym świecie!

– Ciekawe i odważne teorie. Zatem uważa pan, że Bogiem może

być każdy. Czyli ma pan na myśli, że każdy może być doskonały, jeśli dobrze rozumiem? – zadał pytanie Filozof. I od razu dało się wyczuć irytację w jego głosie. Ludzie tak reagują, gdy tylko ktoś próbuje podważyć ich wiarę. Rosła we mnie satysfakcja.

– Bóg wcale nie musi być doskonały. Nie ma ideałów. Nie ma doskonałego Boga. To bzdety wymyślane przez filozofów. Ja jestem Bogiem w całej okazałości, jak tutaj stoję. Jestem Bogiem samego siebie i swojego królestwa. I zapewniam pana, daleko mi do doskonałości – odparłem dumnie.

– Czy dobrze pojmuję – zarzuca pan łgarstwo takim wielkim filozofom, jak Platon czy Arystoteles? Nie musi się pan oczywiście zgadzać z ich poglądami. Ale nie myśli pan, że wyrażając takie śmiałe teorie, może również zostać odebrany za łgarza, nawet większego niż oni?

To się staruszek zdenerwował. Ja łgarzem? Jak można oskarżać Boga o kłamstwo?!

– Nie myślę tak. Jestem Bogiem i w przeciwieństwie do tej całej zakłamaney rzeszy, w której się teraz znajduję, potrafię zawalczyć o swoje. Powtarza pan pierdoły, które przeczytał w nic niewartej makulaturze, a nie mówi nic sam od siebie. Żołnierzek jeden z wielu. Żałosny Filozof.

Musiałem mu dopieć. Na mojej nieogolonej twarzy pojawił się uśmiešek. Jeden zero dla mnie.

– Nie tak łatwo wyprowadzić mnie z równowagi, jeśli to jest pana zamierzeniem. Bóg w pana rozumieniu, jak widać, jest nie tylko niedoskonały, ale i arogancki i zarozumiały. I to jest dopiero żałosne, młody człowieku. Wygląda pan na niewyspanego, schorowanego. Czy to jest powodem tej niedyspozycji? Która, mam nadzieję, że jest jedynie chwilowa i szybko przywróci się pan do porządku.

Nerwowo gestykulował rękoma. Niełatwo wyprowadzić go z równowagi? Akurat. Już kipiał w środku ze wściekłości. Robiło się coraz bardziej gorąco.

– Polecam poczytać sobie Koran zamiast tych bzdurnych teoryjek. Ale może zacytuję mój ulubiony fragment z lekturki: *Nie ma żadnego Boga poza Tobą, Żyjącym i wiecznym. Nie drzemiesz ani nie śpisz. Do Ciebie należy to, co na ziemi, i to, co jest na nie-*

bie – wyrecytowałem z pamięci motto, które zna każdy szanujący się maratończyk. – Także, marny Filozofie, jestem Bogiem. A Bóg nie śpi. I mam się całkiem nieźle – dodałem na koniec. Rozpierała mnie duma.

– Kulturalnie proszę, młody człowieku, abyś opuścił salę wykładową. Nie jest pan mile widzialny na moich wykładach. Ale zanim pan wyjdzie, poproszę o nazwisko, powiadomię dziekana o moich powodach wykreślenia pana z grupy wykładowej.

Bingo. Efekt uzyskany. Wiedziałem, że starzec nie wytrzyma napięcia.

– Dla przyjaciół Apollo, dla pana po prostu Bóg... – Kulturalnie i z uśmiechem się przedstawiłem. – Z przyjemnością opuszczę to miejsce. Olimp mnie wzywa. Żegnam.

– Żegnam pana – odpowiedział z miną typową dla osób przegranych.

Ze mną nikt nie wygra. Przecież jestem Bogiem. Czyż nie sam mówił, że ludzie są mniej wartościowi od Boga?!

Tak oto dobiegła końca moja niespełna trzyletnia kariera studencka. Ale nie przejmuję się tym. Przecież Bóg jest wszechwiedzący. Nie wypada mu kajać się przed uniwersyteckim pajacem.



Kto powiedział, że Boga trzeba szukać w niebie? Wierzą w to tylko ludzkie istoty godne pożałowania. Starucha, Grzesznica, Matka, Filozof – niewątpliwie zaliczają się do tej grupy. My, bogowie, mamy swoją siedzibę na Olimpie. Ale nie na tej mitycznej górze, znanej wszystkim. Blokowa piwnica jest naszym szczytem. Szczytem eksperencji.

Zeus czekał już na mnie o umówionej wieczornej porze. Tradycyjnie byłem pierwszym gościem.

– Siemanko, Apollo. Jesteś jak zawsze punktualnie. To się docenia na Olimpie. – Zeus przywitał mnie już w progu. Przybiliśmy rzymską piątkę. To powitanie zastąpiło tradycyjnego zółwika na czas maratonu. – Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o sprzęcie?

– Nawet bym nie śmiał zapomnieć, Zeusie. Gitara jest. Mu-

zy też... – odpowiedziałem, uśmiechając się szeroko. Aż ślinka mi pociekła na samą myśl o degustacji, mającej nastąpić za lada moment.

– Jakież to muzy dziś będą naszym natchnieniem? – Zeusa zżerała ciekawość. Na marmurowej twarzy wymalował się znajomy uśmiech. A w oczach zaczął się błysk podniecenia.

– Podwójne Wisienki – zdradziłem ich nazwę z wielką czcią. Nie wszystkie muzy budzą tak wielki szacunek jak akurat te. – Bierzemy po trzy i rozpoczynamy próbę generalną.

Złożyłem na dłonie Zeusa ten drogocenny skarb. Przyjrzał się pigułkom w odcieniu brudnej bieli i idealnym kształtom wyżłobionych na nich. W jego spojrzeniu dostrzegłem głód. Ten sam głód, który również mnie zżerał od środka.

– Znasz się na rzeczy, mój boski przyjacielu. Zatem z przyjemnością rozpoczynam dzisiejszą ucztę. Reszta bogów dołączy za jakąś godzinę – powiedział, po czym połknął wszystkie trzy pigułki.

– Smacznego, Zeusie.

Kultura w naszym gronie to podstawa. Nie zapominamy o zwrotach grzecznościowych. Życzyłem mu smacznego, by następnie również przystąpić do degustacji.

– I wzajemnie – odparł grzecznie.

Pigułki spływały powoli do żołądka, by stamtąd przeniknąć do krwiobiegu. Nasz głód został częściowo zaspokojony.

Oczekiwanie na to, co miało nadejść, umilała nam gra na gitarze. Żaden z nas nie potrafi grać. Trącaliśmy struny byle jak. Z początku gównie z tego wychodziło. Ale z każdą chwilą i z każdym kolejnym drżeniem strun zaczynało dziać się coś niezwykłego. Niepostrzeżenie z istot pozbawionych talentu staliśmy się geniuszami. Palce zgrabnie zaczynały przesuwac się po strunach. To było już nie tylko brzdąkanie. To była gra. Gra piękna i wyjątkowa. Gra czule dotykająca umysłu i pieszcząca ducha. Najpiękniejsza. Najświętsza. Boska.

Byliśmy już najprawdziwszymi mistrzami, kiedy zaczynali się schodzić pozostali bogowie. Na początek zaszczyciły nas swą obecnością boginie – Hera i Hebe. Odziane jedynie w skąpe, białe suknie, odkrywające spory kawałek posągowej skóry, na której lśniły

kropelki potu. I uwydatniały kości, sprawiające wrażenie, jakby chciały się przebić przez tę cienką warstwę łupiny. Boginie ukazały się nam w całej swej okazałości. Wydobyły z siebie najprawdziwsze piękno. Wydobyły i dobrowolnie pozwoliły ulatniać się temu pięknu w piwnicznym mroku. Potem zaczęli się pojawiać kolejni z boskiej ekipy – Hefajstos, Hades i Ares. Każdy z nich przekroczył próg Olimpu dumnie i majestatycznie. Każdy zdawał sobie sprawę ze swojej wyjątkowości. I zjawiskowości tego spotkania. Uczty godnej jedynie bogów.

Gdy wszyscy byliśmy w komplecie, Hebe zaczęła nalewać wino do kryształowych pucharów. Aby nektar nabrał odpowiednich właściwości, Zeus dodał do każdego kielicha gram życiodajnego pudru. Świętego proszku, który zapewniał nieśmiertelność. Na Olimpie nie praktykuje się tradycyjnych metod konsumpcji. Wciąganie nosem już dawno przestało nam sprawiać przyjemność. Rany w przegrodzie nosowej i odruchy wymiotne – to niepodważalne argumenty dla naszej rezygnacji z tej techniki. Na uczcie wszystko musiało przebiegać prawidłowo. Nic nie mogło zakłócić przebiegu całej uroczystości.

– Zatem wypijmy za nasze zdrowie, bogowie Olimpu. – Zeus wzniosł pierwszy toast, oficjalnie rozpoczynający ucztę.

Drugi i zarazem ostatni wzniesie, zanim zacznie świtać. Będzie on zwieńczeniem dzisiejszego spotkania. Ten rytuał od kilku dni (od ilu?) stał się naszą codziennością.

– Na zdrowie – odpowiedzieliśmy chórem i przechyliłiśmy puchary. Do dna.



Ocknąłem się w trakcie uczty. Zawiesilem się. Nie wiedziałem, jak długo trwał ten stan. Byłem tylko ja i moje ciało poza czasoprzestrzenią. Żadnych myśli, emocji. Tabula rasa. Gdy powoli zaczynałem powracać do otaczającej mnie rzeczywistości, bogowie namiętnie o czymś rozprawiali. Wyłożeni wygodnie na kanapie, trwali w bezruchu. Poruszali jedynie ustami. A z ich ust wydobywały się melodyjne dźwięki. Co było tematem tych zapewne pasjonujących rozmów? Widziałem i słyszałem, że rozmawiali. Ale

nie potrafiłem zrozumieć ani słowa. Byłem pośród nich, a jednak czułem się wyobcowany. Wykluczony ze świętego kręgu.

Przyglądałem się im uważnie. Wyglądali naprawdę groźnie. Nie byli do mnie przyjaźnie nastawieni. Trwałem w tym przekonaniu. Co się wydarzyło, że tak nagle zmienili stosunek do mojej boskiej osoby? Czułem się niemile widziany. Pierwszy raz, odkąd brałem udział w uczcie na Olimpie, oplótł mnie dziwny chłód. Miałem wrażenie, że nie dotrwam do końca uroczystości. Nie doczekam ostatniego toastu. W bani piętrzyły się przeróżne negatywne myśli. Głowa niemilosiernie buzowała. Jakby lada moment miała rozprysnąć się na tysiące kawałków. Chciałem wybiec stamtąd, ale moje ciało odmawiało posłuszeństwa.

Jestem sparaliżowany! – zamierzałem krzyknąć. Ale żaden dźwięk nie wydobywał się z moich ust. Żałośnie poruszałem wargami jak ryba. Zaczynałem już myśleć, że to koniec. Łapczywie pochłaniałem wszelką dostarczaną mi porcję tlenu. Każdy kolejny oddech był cudem. Każdy wydawał się moim ostatnim. I kiedy w myślach żegnałem się już ze światem...

– Spokojnie, Apollo. Mam dla ciebie lekarstwo. – Hebe przybyła z ambrozją. Pocałowała mnie zachłannie. Szorstkim językiem agresywnie rozchyliła spierzchnięte wargi, wpychając na siłę do ust pigułkę.

Zanim porządnie ją przełknąłem, odniosłem wrażenie, że za moment zwymiotuję. Ale świadomość tego, że zaraz wszystko wróci do normy, zniwelowała odruch wymiotny. Następnie Hebe napoiła mnie wodą. Spijałem orzeźwiające kropelki wprost z jej jamy ustnej. Ten akt, z pozoru intymny, pozbawiony był wszelkiej emocjonalności. Stanowił kluczowy element do mojego uzdrowienia.

Lek powoli przemieszczał się w przełyku. Coraz niżej i niżej, aż do żołądka. Mijała sekunda za sekundą, minuta za minutą... Błogie ciepło ogarniało ciało. Zęby zgrzytały, źrenice się rozszerzały, zmysły stopniowo zaczęły się wyostrzać. Zbawienie było coraz bliżej.

Jestem Bogiem. Uświadom to sobie. Ty też jesteś Bogiem. Tylko wyobraź to sobie...

Nie byłem pewien, czy te słowa wydobywały się z mojej głowy,

czy z głośników boomboxa. Ale słyszałem je wyraźnie i zgrzeszyłbym, gdybym nie popłynął w rytm tej boskiej melodii.



– Grzesznico, to ty? Wróciłaś?

Odgłos otwieranego zamka w drzwiach, a później kroków wyrwały mnie ze stanu zawieszenia. Często medytuję, zanim na niebie wszędzie słońce. W pokoju panował półmrok. Było już koło szóstej rano, niedawno wróciłem z Olimpu. Na ścianie dostrzegłem cień, poruszający się z gracją. Delikatnością typową tylko dla niej.

– Tak, to ja, Apollo. Wiesz, że nie potrafiłabym żyć bez ciebie. Jesteś moim Bogiem. Moim życiem – odpowiedział cień.

Wiedziałem, że wróci.

– Jak dobrze, że jesteś. Cholernie się stęskniłem. . . – wyszeptałem. Sam się szczerze zdziwiłem swoim wyznaniem.

– Też się stęskniłam. Ale wróciłam i już nigdy cię nie zostawię.

To ona. Naprawdę ona. W sercu poczułem znajome ukłucie. Potem się zadumałem. Czy Bóg ma w ogóle serce? Ale szybko porzuciłem te rozmyślenia. Ona tu była i nie liczyło się nic więcej.

– Obiecujesz?

Pragnąłem, aby mi to obiecała. Wtedy naprawdę tego pragnąłem. Wyczekiwałem odpowiedzi. Lecz ta nie nadeszła.

– Grzesznico moja, gdzie jesteś? – spytałem jeszcze raz, pełen nadziei. Tak bardzo chciałem mieć ją teraz w ramionach. Choć przez tę jedną małą chwilę. Ale czar prysł. Jak bańka mydlana. Zabawiła się ze mną w kotka i myszkę.

– Kurwa, gdzie jesteś? Odpowiadaj, gdy twój Bóg zadaje ci pytanie! – wykrzyknąłem agresywnie. Lecz znów odpowiedziała mi głucha cisza. Cień, który jeszcze przed momentem zarejestrowały moje oczy, zniknął.

Zdenerwowany i spocony wstałem pośpiesznie z kanapy. Skierowałem się w stronę włącznika światła. Gdy lampa rozbłysła pełnym blaskiem, miałem nadzieję ujrzeć ją przed sobą. Już wyobrażałem sobie, jak stoi przede mną skruszona i błaga o wybaczenie. Lecz w pokoju nie było nikogo. Nikogo poza mną.

Skąd się wziął ten cień? Do kogo należał głos, który słyszałem? Zaniepokojony usiadłem na kanapę. Patrzyłem prosto przed siebie, na ścianę. Staralem się wyłączyć, nie myśleć o niczym. Medytować i tylko medytować. Nie było cienia, nie było głosu... Nie było...

– Prześpij się, Apollo. – Znów ten sam aksamitny ton zaczął pieścić moje zmysły. – Śpij, śpij... – docierały do mnie rozkoszne dźwięki. Sen, przed którym uciekam już od jakiegoś czasu, zbliżał się. Dużymi krokami. Był już tuż, tuż...

– Co jest, do cholery?! Spieprzaj z mojej głowy, Grzesznico! Jestem Bogiem! A Bóg nie śpi! Zapamiętaj to sobie raz i na zawsze!

Na całe szczęście szybko oprzytomniałem. Nie dam się jakimś omamom. Z Bogiem nie wygra byle sen. Byle Grzesznica. I byle ktoś tam czy coś tam.



– Dobry Boże, jak ty wyglądasz, chłopcze?! Wrak człowieka!

Że też akurat musiałem spotkać to wstrętne babsko. Co Starucha robiła o świcie na klatce schodowej? Czyżby też strzeliła sobie maraton?

– A pani co, spać nie może i znowu się wpieprza?! Nie mam nastroju na pogawędkę – odpowiedziałem aroganckim tonem.

– Ja tego tak nie zostawię! Zadzwońię do twojej matki. Zabiorą cię na przymusowe leczenie! Może nawet uratują życie. Jeszcze podziękujesz mi za to! – krzyczała żałośnie. I groziła mi palcem. Jak małemu i niegrzecznemu dziecku.

Miarka się przebrała.

– Odpieprz się od mojego życia, wścibska Starucho! – krzyknąłem zachrypniętym głosem. Straciłem panowanie nad sobą. Chwyliłem jedną ręką za jej tandetny fartuch na wysokości klatki piersiowej i zacząłem nią szarpać.

– O-D-P-I-E-P-R-Z S-I-E! – wycodziłem przez zaciśnięte zęby literkę po literce. Prosto w jej przeterminowaną twarz. Tak, żeby w końcu zrozumiała. I zajęła się własnymi problemami.

Przerażona patrzyła na mnie. Jak na szatana. Słowa nie mogła wypowiedzieć. Wiedźma wstrętna. Niewiele brakowało i dostałby

zawału. Albo co gorsza, rzuciłaby na mnie klątwę. Ta myśl sprawiła, że w mojej głowie zakiełkował lęk. Czułem, jak zbliża się atak paniki. Zacząłem się dusić. I walczyć o każdy oddech. Puściłem ją pośpiesznie i wszedłem z powrotem do mieszkania.

– Wezwę policję! Kryminalista!

Starucha jeszcze krzyczała za mną, ale nie przejmowałem się tym. Niech sobie robi, na co ma ochotę. Pieprzyć ją! Zatrzasnąłem drzwi, szybko zasunąłem zasuwę.

Nie kontrolowałem tej sytuacji. Kucnąłem w korytarzu przy drzwiach. Skuliłem się i objąłem rękami kolana. Miałem jeszcze na tyle świadomości, żeby wyobrazić sobie, jak nędznie musiałem wyglądać. W takim stanie nie mogłem wyjść na miasto. Skąd wziął się ten lęk? Tak przeraźliwie się bałem. Ale nie Staruchy. To było coś innego. Coś ogromnie przerażającego! Lecz nie potrafię tego jednoznacznie określić. Sznur strachu oplótł mnie całego i uwięził. Stopniowo pozbawiał tlenu. A wraz z nim reszek racjonalnego myślenia. Sfiksowałem.

★ ★ ★

Igrzyska zakończone. Do następnego maratonu. Zeus.

Dziwnie się czułem, czytając SMS od Zeusa. Już wiem, ile dni nie śpię. Dziesięć dni – tyle miały trwać nasze igrzyska olimpijskie. Dziesięć dni i dziesięć nocy ostrej jazdy. Dotarłem do mety. Czy znalazłem to, czego szukałem? Cholera, nie wiem. Co właściwie chciałem tutaj znaleźć? Nawet jeśli miałem jakieś oczekiwania, to zdążyłem już o nich zapomnieć. W głowie pozostała wielka, czarna dziura. Nic więcej.

Uciekałem przed snem. Wiele razy próbował dopaść mnie w swoje szpony, ale za każdym razem umiejętnie umykałem. Nie dałem się. Jestem godny miana olimpijskiego boga. Teraz, gdy o niczym innym nie marzę, jak tylko zapaść w długi i głęboki sen, on ignoruje mnie. Nie nadchodzi. Pewnie droczy się ze mną. Teraz to ja będę musiał dopaść jego. Ale gdzie szukać snu?

★ ★ ★

Dzwoniłem do niej. Jak jakiś natręt, dzwoniłem raz za razem. Oczywiście moja Grzesznica nie odbierała. W akcie desperacji napisałem SMS: *Wróć, proszę. Potrzebuję Cię.*

To koniec. Nie dzwoń i nie pisz. Żegnaj.

Tyle mi odpisała. Już nie moja Grzesznica. Zostałem sam. Nie mam sił, żeby wstać z łóżka. Jest mi wszystko jedno. Mogę nawet leżeć tak we własnych odchodach. I czekać, aż zdechnę. Czy każdy bóg jest skazany na taki nędzny koniec?

★ ★ ★

– Halo – usłyszałem w słuchawce dobrze znany mi głos. Głos przesiąknięty smutkiem. I to ewidentnie z mojej winy.

– Cześć, mamó. To ja... – przywitałem się niepewnie.

Nie odpowiedziała.

– Chciałem cię przeprosić... – skruszony mówiłem dalej.

Każda kochająca matka przygarnie swojego marnotrawnego syna. Każda wybaczy. Wystarczy przeprosić.

Najpierw przywitała mnie cmentarna cisza. Potem gdzieś w tle ledwie słyszalne westchnienie przepełnione żalem. Następnie trzask słuchawki.

Każda kochająca matka wybaczy. Moja Matka nie. Genialna teoria Apolla legła w gruzach. Jak wszystko, co mnie otacza. Leżę przywalony gruzem. Już nie mam nikogo, kto mógłby mi pomóc wydostać się z tej ruiny.

★ ★ ★

Wykłady z filozofii kończę późnym popołudniem. Cały dzień spędziłem na uczelni, ale lubię zajęcia z Filozofem. Nie narzekam i z chęcią w nich uczestniczę. Wracając z uniwerku, mijam na klatce schodowej sąsiadkę.

– Dzień dobry – grzecznie się witam.

– Oj, wcale nie taki dobry, chłopcze. Ale widać po wesołej

minie, że u ciebie wszystko dobrze. Dziś wyglądasz całkiem przyzwoicie. – Uśmiecha się przyjaźnie.

Odwzajemniam uśmiech, choć nie przepadam za nią. Wścibska Starucha. Ale starość – nie radość.

Wchodzę pośpiesznie do mieszkania. Ona czeka tam na mnie. Jak co dzień. Moja Grzesznica. Po całym dniu poza domem marzę tylko o tym, żeby mieć ją w swoich ramionach. Odurzać się jej zapachem, dotykiem i oddechem. Jest dla mnie wszystkim. Płomykiem rozświetlającym mroczny labirynt, w którym błędzę od felernego dnia moich narodzin. Nie zawsze traktuję ją tak, jak na to zasługuje. Ale kocham ją całym sercem. Ona wie o tym. Kocha mnie również. I dlatego znosi chama, którym jestem.

– Wreszcie jesteś. Cholernie stęskniłam się za tobą, łobuzie.

Wtula się mocno we mnie i całuje delikatnie w usta. Nasze spojrzenia się spotykają. Zatracam się w szafirowym blasku. Prześiąkam dogłębnie. Co musiałoby się wydarzyć, żeby zburzyć tę pełnię szczęścia? Nic. Absolutnie nic nie jest w stanie nas rozdzielić. Jestem tego pewien.

– Też się stęskniłem. Kocham cię, maleńka.

Mógłbym wyznawać jej miłość na każdym kroku. I robię to często. Ale żadne wyznanie nie jest i nie będzie w stanie wyrazić w pełni ogromu uczucia, jakim darzę tę kobietę. Moją kobietę i tylko moją.

– Kocham cię, mój Apollo – odpowiada. A jej subtelny głos pieści moją duszę.

Trwamy przez dłuższą chwilę w splocie swych ramion. Serce przy sercu. Wyjątkowość tej z pozoru codziennej chwili przerywa dzwonek telefonu. Niechętnie uwalniam ją z uścisku i odbieram.

– Witaj, synku.

Matka często telefonowała wieczorami. Można ją określić jako matkę nadopiekuńczą. Ale ma tylko mnie, dlatego jestem w stanie ją zrozumieć. Ojciec ciągle pracuje w delegacjach, więc bywa rzadko w domu. Liczą się dla niego jedynie: praca, koledzy, panienki i alkohol. Wątpię, aby rodzina kiedykolwiek odegrała w jego życiu jakąś znaczącą rolę. Matka żyje w głębokiej nieświadomości. Lub tylko udaje. Bo tak jej łatwiej. Tak naprawdę przez całe życie miała tylko mnie.

– Miło cię słyszeć, mamu – mówię ciepłym tonem. – Co tam słychać u ciebie?

– Wszystko po staremu. Stęskniłam się za moim synkiem. W przyszłym tygodniu odwiedzę was. Mam nadzieję, że się cieszysz.

Cieszę się. Naprawdę. Nie zawsze się zgadzamy. Matka lubi wtrącać się do wszystkiego. Gdyby mogła, wzięłaby na siebie wszelkie moje problemy. Byłoby ustrzec ukochanego synka przed cierpieniem. Bywa to wkurzające i często kończy się awanturą. Lecz jak to Matka, zawsze wybacza.

– Oczywiście, że bardzo się cieszę. Zatem do zobaczenia w przyszłym tygodniu – odpowiadam szczerze.

– Do zobaczenia, synku.

Dla niej chyba zawsze będę małym chłopcem. Synkiem mamusi. Kiedyś próbowałem wytłumaczyć jej, że do ponad dwudziestoletniego mężczyzny nie wypada zwracać się: synku. Ale dla niej to żaden argument. Cała Matka.

Pojawia się kolejna scena. Tego samego dnia, krótko po rozmowie z Matką, dostaję SMS.

Siemanko, Apollo. Oficjalne rozpoczęcie dziesięciodniowych igrzysk olimpijskich dziś w porze dobranocki. Zapraszam na Olimp. Zeus.

Bestia ukryta w moim wnętrzu nagle się ocknęła. I ryczy z głodu. Muszę ją zaspokoić.

– Kochanie, dziś wieczorem chciałabym wyjść z chłopakami na browara. Nie masz nic przeciwko? – Spoglądam na nią jak synek, który prosi mamusię o pozwolenie na wyjście z domu.

– Zachwycona nie jestem. Ale przecież nie utrzymam cię na siłę w domu. Nie musimy spędzać razem każdej wolnej chwili. Także idź, baw się dobrze. I grzecznie wróć do beznadziejnie zakochanej w tobie kobiety.

Zalotnie puszcza do mnie oczko. I za to tak bardzo ją kocham. Kochająca i wyrozumiała. Moja Grzesznica.

– Kochana jesteś. Nie czekaj na mnie. Zapowiada się, że wrócę późno. Kocham cię.

Całuję ją czule, a zarazem zachłannie. Jak podczas naszego pierwszego i niezapomnianego pocałunku. Nie mogę oderwać się

od jej ponętnych, kuszących ust. Pragnę wyrwać w swoim umyśle jak najwięcej wspomnień z tej chwili. Jakbym jeszcze za życia stawiał pomnik naszej namiętności.

★ ★ ★

Film zmierza ku końcowi. Na zegarze już jest parę minut przed dziewiętnastą. Pośpiesznie zakładam adidas. U schyłku lata noce są raczej chłodne, więc biorę też kurtkę z wieszaka. I jestem gotowy do wyjścia. Nie mogę się spóźnić.

– Nie idź tam, idioto! Cholera, nie idź! – krzyczę do samego siebie. Ale aktor, który ewidentnie jest mną, nie słyszy. Otwiera drzwi. Wychodzi.

Za jakiś kwadrans jestem już na Olimpie. Bogowie wznoszą toast. Przykładam kryształowy puchar do ust. Jeszcze chwila i przechylę kielich z boskim nektarem.

– Kurwa, nie pizgaj tego! Słyszysz, ćpunie? – krzyczę tak głośno, iż mam wrażenie, że moje gardło rozedrze się na strzępy.

Niestety, Apollo nie słyszy. Czuje pragnienie, które zaraz zaspokoi. Chce wziąć udział w tym szaleńczym biegu. Pragnie zatrać się w olimpijskiej przygodzie.

Pierwszy toast wzniesiony. Kielichy opróżnione do dna. Maraton oficjalnie rozpoczęty.

– Nieee!!! – wydaję z siebie przeraźliwy wrzask.

Ale daremnie skowyczę wniebogłosy. Nie zadziała liberum veto. To już się wydarzyło! Przecież znam zakończenie tego filmu. Wygram ten maraton. Wszak po to tam poszedłem. Dotrę do mety, gdzie powita mnie nicość. Otchłań bez dna. Gdyby było choć dno, mógłbym się odbić od niego. Ale nie będzie tam nawet tego cholernego dna! Zostanę sam. Z pieprzonymi lękami. Czy tego właśnie szukałem?

– Wróćcie! Grzesznico, Mamo! – błagam żałośnie. Lecz one nie słyszą mnie. Nie wróćą. . .

Przeżywam na nowo te igrzyska. Począwszy od pierwszego dnia, zanim wszystko się zaczęło. Przeżywam to we śnie. Tak, dopadłem w końcu sen. A może ten dopadł mnie?

Zaczaił się i schwycił w swe sidła. W najmniej oczekiwanym momencie. I zemścił się okrutnie, objawiając się w postaci najgorszego koszmaru.

Tak kończą igrzyska bogowie Olimpu.

Anioł

Andrzej Chodacki

– Kogo tam macie, Imbek, w tym żydowskim dworze w Woli Okrzejskiej?

– Pragnę zauważyć, Sturmbannführer, że majątek nie jest już żydowski.

– Chcecie mi powiedzieć, że nie ma tam Żydów?

– Niestety, ciągle są.

– Do wiosny macie uprzątnąć tę żydowską oborę. Do pomocy dostaniecie Ukraińców, Łotyszy i Litwinów, wasi żołnierze są zbyt wrażliwi. – Tu pogardliwy śmiech.

– Ależ Sturmbannführer!...

– Bez dyskusji! Za dużo mi ucieka z transportów do Majdanka. Znajdźcie sobie tam jakieś dobre miejsce do postoju i powyłapujecie uciekinierów. Oczywiście nie wieźcie ich do Majdanka, tylko zakopcie na miejscu. Zrozumieliście, Imbek?!

– Jawohl, Sturmbannführer!!!

★ ★ ★

*Niech trwa braterska miłość.
Nie zapominajmy też o gościnności,
gdyż przez nią niektórzy,
nie wiedząc,
aniołom dali gościnę.*

(Początek listu do Hebrajczyków, księga 13)

W naszym domu w czasie wojny było takie miejsce, do którego nie miał wstępu nikt oprócz ojca. To była piwnica. Wtedy, w 1942 roku nie było właściwie w dworze i zabudowaniach wokół dworu takiego skrawka ziemi, który nie byłby szczegółowo przeszukany przez hitlerowców. Naloty na domy, strychy i piwnice zdarzały się bardzo często, a gdziekolwiek znaleziono ukrywanego Żyda, tam rodzina kończyła życie rozstrzelana lub wysyłana była do obozu śmierci na Majdanku.

Miałem wtedy trzynaście lat, ale podświadomie wiedziałem, że w naszej piwnicy ojciec kogoś ukrył. Regularne wizyty pod podłogą naszego domu trzy razy dziennie już nasuwały podejrzenie, że zanoszą tam jedzenie. Nigdy jednak rodzice nie mówili o tym, aż do dnia, gdy na dwa tygodnie przed ucieczką Niemców trafił do nas na nocleg ten ksiądz. Nazwiska już dziś nie pamiętam. Usłyszałem tylko, że prosi ojca o przenocowanie. Potem długo rozmawiali w kuchni, a ja, choć bardzo się starałem, nie mogłem wychwycić z tej rozmowy ani słowa.

Wszystko jednak zaczęło się latem 1942. Pewnego dnia do naszego domu w pobliżu dworu w Woli Okrzejskiej wtargnęło kilku ubranych na czarno Ukraińców, krzycząc i wyganiając wszystkich na plac przed domem. Byliśmy przyzwyczajeni do takich sytuacji, bo hitlerowcy z tartaku w Hodzieżce, który okoliczni nazywali Korwinem, regularnie napadali na okoliczne wsie, mordując ludzi lub wyłapując ich do transportów w nieznane, z których nikt już nie wracał. Tym razem faszysti zgromadzili na placu tylko mężczyzn; zrozpaczone kobiety, broniące swoich mężów pogonili kolbami karabinów.

Mój ojciec stał także w tej stłoczonej przez domem gromadzie. Z daleka widziałem, że wykonał dyskretny znak krzyża i poruszał ustami tak jak wtedy, gdy się modlił. Przyprowadzono za chwilę rządcę dworu Michała Niezgodę, który po krótkiej rozmowie z jednym z hitlerowców ogłosił, że polscy robotnicy są potrzebni do pogrzebania Żydów rozstrzelanych w Okrzei. Dodał jeszcze, żeby się nie bali, bo do wieczora wrócą do domów.

Matka większość dnia nie odzywała się ani słowem. Wieczorem zgromadziła naszą czwórkę na modlitwę, mówiąc:

– Módlcie się, dzieci, by tata wrócił do domu zdrowy, waszej modlitwie nie odmówi Matka Najświętsza.

Potem mówiliśmy wspólnie „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Maryjo”, a na koniec „Pod Twoją obronę”. Drzwi domu otworzyły się i w progu stanął ojciec. Matka poderwała się z klęczek i z płaczem rzuciła się mu w ramiona. My także podbiegliśmy, dumni, że oto Maryja wysłuchała naszej prośby, ale ojciec po ucałowaniu naszych głów szybko odprawił nas do spania. Był czymś mocno zaaferowany, cały czas wyglądał przez uchylone drzwi na podwórko, jakby ktoś go gonił. Matka zabrała nas do izdebki obok kuchni, po czym usłyszeliśmy, że w sieni otwiera się włącz do piwnicy i ktoś schodzi po schodach.

W nocy długo nie mogłem zasnąć. Świeca do późna paliła się w kuchni, słychać było przyciszone rozmowy rodziców. Matka znów płakała, ojciec ją uspokajał. Tylko raz doleciał do moich uszu podniesiony głos ojca:

– No to go zabij!

Potem znów cisza i płacz matki.

Rano przy śniadaniu złożonym z mleka i kawałka chleba panowało nerwowe milczenie. Twarz ojca była jakaś odmieniona. Spoglądał na nas z troską, jak wtedy, gdy Jasiek zachorował na szkarlatynę i dwa tygodnie leżał z gorączką. Matka miała podkrążone oczy, dyskretnie obcierała dłonią łzy.

Od tego dnia zaczęło się regularne odwiedzanie przez ojca piwnicy pod naszym domem. Od tego też dnia na klapie wejściowej pod podłogę zawisała kłódka, do której klucz miał tylko ojciec.

Wszystko powoli wracało do normy. Mama stawiała się jakby weselsza, a tata przytulał nas jak dawniej, opowiadał na dobranoc historie o żołnierzach i rycerzach. Jego codzienne wizyty pod podłogą stały się dla nas normalną częścią dnia, a gdy wychodził do sieni, zawsze niósł ze sobą jakiś słoik czy butelkę, tłumacząc, że po to właśnie poszedł. O piwnicy mówiło się w domu niewiele albo prawie wcale. Ale cały czas dawało się wyczuć pewne napięcie. Jak daleki zapach wypalanych łąk, który powodował, że przedwiosen-

ne powietrze, choć świeże, nie było już tak krystalicznie czyste. Kilka razy zaofiarowałem się, że pójde do piwnicy po ziemniaki, ale ojciec stanowczo odmówił, a mama spoglądała wtedy oczami pełnymi lęku.

Czas biegł szybko, napiętnowany boleśnie kolejnymi pogromami Żydów we dworze i jego okolicach. Do wsi zaczęły docierać wiadomości o klęskach Niemców na froncie wschodnim. My, dzieci, słyszeliśmy tylko skrawki tych informacji przy stole, ale widać było, że ludzie wokół częściej się uśmiechają, jakby czuli wiatr zmian, który miał przywiać już niedługo wyzwolenie. Faszyci z Korwina coraz rzadziej zapuszczali się w lasy, bojąc się odwetu partyzantów. Podobno ich przywódcę, Imbeka partyzanci osaczyli i zabili jak wściekłego psa. Tata mawiał, że teraz wraz ze swoimi ukraińskimi i litewskimi pomocnikami z piekła rodem będą się smażyć na rozżarzonych węglach za krzywdy i morderstwa ludzi w naszej okolicy.

Nic więc dziwnego, że trafił do nas ten ksiądz; podróżowanie stawało się bezpieczniejsze, a ludzie u nas w wiosce życzliwi. Czarna noc zasiała pozorny spokój nad całą okolicą, cisza dzwoniła w uszach, przerywana tylko szczekaniem psa gdzieś koło dworu. A ojciec i ksiądz nadal rozmawiali w kuchni.

Dwie siostry i brat spali już głębokim snem, gdy usłyszałem, że obaj wstali od stołu i wychodzą do sieni. Za chwilę dał się słyszeć charakterystyczny szczęk otwieranej kłódki i skrzypnęła podnoszona do góry kłapa. Delikatnie podniosłem się z łóżka i zajrzałem do kuchni. Zobaczyłem otwarte drzwi do sieni, oświetlone jedną małą świecą, stojącą na kuchennym stole. Właz pod podłogę był otwarty, delikatne światło mrugało z wnętrza piwnicy, jakby zapraszało mnie do środka.

Dziecięca ciekawość okazała się we mnie silniejsza niż lęk przed ojcowskim paskiem. Powoli zacząłem stąpać bosymi stopami po drewnianych schodach wiodących pod podłogę sieni. Wszystko było tam dla mnie nowe – przecież ostatni raz widziałem piwnicę dwa lata temu, zanim ojciec nie odciął jej od świata mosiężną kłódką. Kiedy gołą stopą dotknąłem klepiska, pojawiła się we mnie pierwsza wątpliwość, czy nie wycofać się, dopóki ojciec nie od-

krył mojej obecności. Ale szmer rozmów za drzwiami wiodącymi w głąb piwnicy działał na mnie jak magnes. Ciekawość, by zgłębić ojcowską tajemnicę, pchała mnie dalej, więc delikatnie, krok po kroku zbliżałem się do tych drzwi, uważając, by nie potrącić jakiegoś przedmiotu w ciemności. Poczułem nagle, że dotykam stopą czegoś miękkiego i ciepłego. Schyliłem się i podniosłem skórę z barana, która spadła na klepisko ze ściany. Ucieszony tym prezentem od losu narzuciłem skórę na zziębnięte ramiona i kucnąłem obok drzwi, wsłuchując się w szepty dolatujące z oświetlonego słabym płomieniem świecy pomieszczenia. Drżałem, ale z podniecenia. Jak zaczarowany wrosłem w ziemię i zacząłem rejestrować rozmowę docierającą coraz wyraźniej do moich uszu:

– Nie bój się, Izaak, to dobry człowiek, przyszedł ci pomóc – usłyszałem głos ojca.

– Nie boję się, panie Józefie – doleciał cichy głos, jakby dziecka – choć myślę, że mnie już pomóc nie można. Ja umieram.

– Tylko Bóg wie, kto pierwszy, ja czy ty, chłopcze, spotkamy się z Nim w niebie. – Tu głos mężczyzny, pewnie księdza, wybrzmiał łagodnie, śpiwnie.

– Ale nasz czy wasz Bóg? – zapytał znów chłopiec, którego mój ojciec nazwał Izaak.

A więc to żydowskie dziecko tata ukrył w piwnicy i doglądał przez dwa lata!

Odkrycie uderzyło we mnie wzburzoną falą emocji zabarwionych strachem. Serce mało nie rozerwało mi koszuli, szamocząc się w piersi, jak gołąb skrywany pod ubraniem przed wścibskim wzrokiem kolegów.

– Jest tylko jeden Bóg, chłopcze – odezwał się znów ksiądz kojącym tonem.

– Tak mówi mój tata, że tylko głupi człowiek mógłby pomyśleć, że Bóg kocha Żydów, a nie kocha innych ludzi. – Znów cichy głos chłopca doleciał zza drzwi.

– Twój tata to mądry człowiek, a gdzie on teraz jest? – zapytał ksiądz.

– Zgubiliśmy się, gdy Niemcy napadli na nas w lesie... potem pamiętam, że gdzieś nas prowadzili... ludzie krzyczeli... a potem

obudziłem się tutaj – odpowiedział chłopiec powoli, z wysiłkiem. Głos miał słaby, robił przerwy po każdym zdaniu.

– Tam wszyscy zginęli w Okrzei. Ciebie wśród ciał znalazł ten człowiek i ukrył cię tu przez hitlerowcami. – Ksiądz pewnie miał na myśli ojca, używając zwrotu „ten człowiek”.

Nie wytrzymałem. Zajrzałem powoli do środka, widząc za odsłoniętą kotarą w głębi piwniczki posłanie, na którym leżało dziecko. Chłopiec był drobny, młodszy i szczuplejszy ode mnie. Koło posłania siedzieli ojciec i ksiądz. Świeca dawała niewiele światła, ale wyraźnie widziałem, że chłopiec płacze. Mój tata miał opuszczoną na piersi głowę, trzymał rękę chłopca, głaszcząc ją drugą dłonią.

– Tata i moje siostry? – Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Chłopiec pociągnął kilka razy nosem i obtarł łzy z twarzy. – Tata mi mówił, że ludzie boją się nas ukrywać, bo grozi za to śmierć – powiedział i zwrócił głowę w stronę ojca. – Ale pan się nie bał zabrać mnie ze sobą? – Ostatnie zdanie wybrzmiało jak pewnik, a nie jak pytanie. – Kiedy stanę przed Bogiem, to powiem Mu o panu, panie Józefie – dodał cicho chłopiec.

– Będziesz żył, Izaak, przetrzymamy – odezwał się ojciec stłumionym głosem. Widać było, że wzruszenie dławi go za gardło.

– Widziałem tak wiele śmierci i zniszczenia... w getcie w Żelechowie ludzie umierali na ulicy... a inni ich okradali... potem przyszedł dzień, gdy zaczęli do nas strzelać, a ja nie mogłem nic zrobić – szeptał chłopiec, patrząc w górę szklistymi oczami.

– Zrobiłeś bardzo dużo, moje dziecko, bo pozwoliłeś odkupić winy wobec Boga człowiekowi, który cię uratował – odezwał się znów ksiądz.

– I to zobaczył Bóg? – Chłopiec podniósł głowę i spojrzał w stronę księdza.

– Tak, twój czyn jaśniej teraz jak wielka gwiazda na niebie – mówił znów ksiądz śpiwnym głosem, jak w czasie mszy.

– Jak słońce? – zapytał jeszcze Izaak, patrząc na betonowy sufit nad głową.

– Jak słońce – potwierdził bez wahania kapłan.

– Jak ja bardzo chciałbym zobaczyć słońce – wyszeptał chłopiec, kładąc się bez sił na posłaniu.

– Zobaczysz, dziecko – powiedział cicho ojciec, przykładając rękę do oczu – zobaczysz.

Poczułem, że muszę wycofać się z piwnicy, bo ksiądz nałożył stulę i zaczął modlić się nad osłabionym chłopcem. Delikatnie wstałem na nogi i w słabym świetle wpadającym przez właz zacząłem zbliżać się do schodów. Wyszedłem do sieni, szybko dostałem się do pokoiku i wskoczyłem pod pierzynę obok nieświadomego mojej nieobecności rodzeństwa. Usłyszałem jeszcze, że ojciec z księdzem wychodzą po schodach do sieni, i zasnąłem niespokojnym snem.

Rano obudziły mnie krzyki. Szybko ubraliśmy się i wraz z rodzeństwem wyskoczyliśmy przed dom. Matka zatrzymała nas w progu, chowając za sobą. Zobaczyłem, że ojciec stoi nad jakimś dzieckiem, a od strony dworu zbliżają się ubrani w czarne mundury esesmani. Ojciec stał nieruchomo jak skała. U jego stóp na dwóch deskach leżał ten chłopiec z piwnicy. Był od nas o parę kroków, więc dostrzegłem, że z uśmiechem na twarzy wpatruje się we wschód słońca, który złocił chmury nad dworem. Mama płakała, mówiąc co chwila:

– Coś ty zrobił, Józek, coś ty zrobił!

A ojciec trwał. Przeżegnał się i ruszył w kierunku zbliżających się hitlerowców.

I tu stała się rzecz niesłychana. Dziś, kiedy o tym myślę, nie mogę do końca uwierzyć, że byłem świadkiem czegoś tak niezwykłego. Pamiętam dobrze, że chłopiec o imieniu Izaak miał czarne, kędzierzawe włosy, jak wiele żydowskich dzieci. Gdy ojciec szedł zdecydowanym krokiem naprzeciw oprawcom, kolor włosów dziecka leżącego na deskach zaczął się zmieniać. Patrzyłem na to zjawisko zafascynowany, wszyscy zamilkliśmy, a mama zatkała usta ręką, łkając co chwila.

Dwóch esesmanów złapało ojca i popychając go kolbami karabinów, zbliżali się, wykrzykując coś po niemiecku i ukraińsku.

– To mój syn! – usłyszałem krzyk ojca poniewieranego przez hitlerowców. Ci nagle puścili tatę i podeszli do dziecka leżącego nieruchomo przed domem. Spojrzeli na niego, potem na nas, warknęli coś jeszcze i ostrym marszem ruszyli w stronę dworu. Gdy odeszli

kilkanaście kroków, ojciec na kolanach podsunął się do chłopca i płacząc przejmująco, przytulił go do piersi. Wszyscy podbiegliśmy do nich i stanęliśmy bezradni ze łzami w oczach. W ramionach naszego ojca leżał martwy chłopiec o białych włosach i błękitnych, szeroko otwartych oczach. Kimkolwiek był, cały promieniował. Nawet na nieruchomej twarzy miał ciągle ten uśmiech spełnionego ukojenia.



Wiele lat po wojnie zastanawiałem się, kim był mały chłopiec, który trafił do nas latem 1942 roku i umarł na naszych oczach w tak przedziwnych okolicznościach. Nigdy nie rozwikłałem tej tajemnicy. Za to w 1981 roku, na miesiąc przed swoją śmiercią wezwał mnie mój ojciec staruszek i powiedział, że słyszał mnie wtedy za drzwiami i wiedział, że zszedłem za nimi do piwnicy. Powiedział także, że na kilka miesięcy przed tym, zanim Izaak zjawił się w naszym domu, ze strachu nie udzielił schronienia Żydowi, który uciekł z transportu śmierci do Majdanka. Ukraińcy Imbeka złapali go i w dworze zatłukli odważnikami do zboża. Jedną z kobiet, które musiały zmywać krew i fragmenty mózgu z drewnianej podłogi, była nasza matka.

Wszystkie daty i postacie są zgodne z faktami historycznymi opisywanymi w książce Haliny Birenbaum *Pod osłoną nocy*.

Chłopiec, którego Polacy wygrzebali spod sterty trupów i ukryli w Woli Okrzejskiej, nazywał się Grynblat. Zmarł na gruźlicę w dniu wyzwolenia.

Cezar, potomek Dropsa

Jolanta Rawska

Pies, który wybiegł zza rogu domu, do złudzenia przypominałby Dropsa, gdyby nie jego długie nogi i bardzo puszysty ogon. Drops miałby teraz jakieś dwadzieścia jeden lat. Poza wiernym Argosem nie znam psa, który dożył tego wieku; Homer kazał mu czekać na Odyseusza dziesięć lat wojny trojańskiej i następne dziesięć tułaczki swego pana. Jednak stworzeń ze starożytnego eposu greckiego nie porównywałbym z żywymi. Im dłużej przyglądałem się inteligentnemu pyskowi stojącego przede mną kundla i gracji, z jaką unosił nogę, aby obsikać niewysoki murek dzielący chodnik od trawnika, tym bardziej nabierałem przekonania, że musi to być potomek mojego psa.

Kiedy wiele lat temu zakopywałem Dropsa pod świeżo posadzoną topolą na skraju osiedla, zaczynałem już tęsknić za nim, za jego miękką, płową sierścią i wesołymi ślepiami. Ale w brezentowej torbie tkwiło tylko jego sztywne, zimne ciało. Byłem przygnębiony, że zmógł go psi tyfus, bo miał dopiero siedem lat – to chyba odpowiednik ludzkiej pięćdziesiątki, a cóż to za wiek dla współczesnego człowieka! Jeszcze tyle może się zdarzyć. Cierpiałem, czując po nim pustkę, ale twardo postanowiłem, że nie sprawię sobie innego psa. Czy była to wierność, na której brak narzekała moja żona?

Drops bardzo cenił sobie wolność i myślę, że był szczęśliwy. Owszem, przeszedł dużo i nawet byli tacy, którzy winili mnie za to, że nie wyprowadzałem go na dwór jak należy, bo tylko otwierałem drzwi, a mój pies śmigał na dół z czwartego piętra i wypadał

tylnym wyjściem od śmietników, uprzednio nacisnąwszy łapą na kłankę. Biegał po osiedlu wzdłuż i wszerz, wachał z zainteresowaniem cały świat, czasem zżarł na dworze jakieś świństwo albo za daleko pognął za atrakcyjną suczką, ale zawsze wracał, machając radośnie ogonem. Był w okolicy dobrze znany zarówno psom, jak i ich właścicielom i właścicielkom. Kiedyś, po skardze sąsiadki z parteru, że narobił jej na wycieraczkę (zresztą kłamstwo, Drops był przyzwoitym psem i nie załatwiał się na klatce schodowej), próbowałem zatrzymać go w mieszkaniu. Nie rozumiał tego, usiadł pod drzwiami i skamlał. Widząc, że nie reaguje, podbiegł do okna, wskoczył na fotel i przyglądał się widokowi przed domem. Po chwili zapiszczał, zeskoczył i znowu był przy wyjściu i skamlał. I tak w kółko. Nie wytrzymałem i otworzyłem mu drzwi. Naprawdę zamierzałem nauczyć go dyscypliny, jednak nie mogłem pozostać obojętny na jego zachowanie. Mój pies potrzebował wolności.

Nie zmienił tego nawet wypadek. Prawdopodobnie potrafił go samochód; przyleciał tego ranka do domu z okiem wiszącym tak dziwnie, że aż mi się niedobrze zrobiło. Wezwałem taksówkę, złapałem go na ręce i pojechaliśmy do lecznicy dla zwierząt. Lekarka uratowała mu oko. Gdyby nie przyszła do pracy o kwadrans wcześniej, byłoby już na taką operację za późno i musiałaby mu je usunąć, powiedziała. W tym wypadku każda minuta była cenna. Byłem jej bardzo wdzięczny, nawet kiedy okazało się, że Drops od tamtego dnia ma zeza.

Rozumieliśmy się bardzo dobrze. Patrzył na mnie ze współczuciem, kiedy rozstała się ze mną moja żona. Nie-Penelopa. Coś w niej pękło, powiedziała pewnego dnia, już nie może dłużej tego wytrzymać, moje wyjazdy i powroty, nie wierzy mi już, ma dość tych tajemniczych telefonów, tych pachnących damskimi perfumami fragmentów mojej garderoby (nie jej perfumami). Jestem podobny do Dropsa, też tak latam za sukami, powiedziała, dlatego mam go zabrać ze sobą. Na pewno znajdzie się sąsiadka, która chętnie się zaopiekuje psem na czas moich wyjazdów służbowych, przecież potrafię być czarujący. Antek, nasz syn, dostanie nowego psa, oczywiście lepiej go wychowają.

Nie-Penelopa została z Antkiem w nowo wybudowanym domu

pod Warszawą, a ja wróciłem do mieszkania, którego jeszcze nie zdążyliśmy sprzedać. Wyremontowałem je nie do poznania, nawet Drops na początku nie mógł się połapać, w którym kącie jest teraz jego miejsce do spania, a gdzie stoi jedzenie. Nie-Penelopa mieszkała blisko swojego ojca i powiedziała, że mój syn będzie miał w nim lepszy wzorzec niż we mnie. Czułem się winien jej oskarżeń i niewiele podjąłem na swoją obronę. Gdybym przewidział, że kontakty z Antkiem będą byle jakie, może powalczyłbym jeszcze. Ale było mi wygodnie, że jestem sam.

Minęło czternaście lat, młoda osoba, która była główną przyczyną mojego rozwodu, dawno mnie zostawiła. Za to Nie-Penelopa wyszła drugi raz za mąż i podobno nawet była szczęśliwa. Antek stał się już dorosłym człowiekiem, ale widywałem go bardzo rzadko. Zaraz po naszym rozstaniu zarzucałem mojej żonie wrogie nastawianie syna do mnie, ale niewiele mogłem zmienić. Przejął stronę swojej matki, obwiniającej mnie za nieudane małżeństwo. Nie mógł mi też wybaczyć, że wołałem wziąć ze sobą psa niż jego (to rozwiązanie narzuciła mi Nie-Penelopa, sprytnie stawiając mnie w złym świetle). Nieliczne spotkania były dla mnie męczarnią, gdyż Antek uparcie milczał, a ja czułem, że się tylko wygłupiam. Wysyłałem alimenty oraz kartki z podróży, w nadziei, że może jednak je przeczyta i będzie trochę myślał o mnie. Może zacznie zbierać znaczki i kontakt między nami wyda mu się przydatny?

Przychodziłem do domu i skarżyłem się Dropsowi.

– Pamiętasz jeszcze Antka? – pytałem, a Drops przekrzywił głowę i z namysłem machał ogonem. Próbował zrozumieć, czy zapowiadam wizytę mojego syna, czy tylko coś przeżywam. Przyjazdy Antka zawsze go cieszyły, a Antek lubił Dropsa, więc dzięki temu rutynowe wizyty jakiś czas dały się znieść. Niestety, mój pies uległ psiemu tyfusowi, a luki po nim nie zapełniłem. Spotkania z synem były coraz radsze, aż właściwie zanikły. Co roku w Sylwestra wznosiłem toast i obiecywałem sobie, że nowy rok będzie inny, że zadzwonię do Antka i naprawię nasze kontakty. Tak sobie mocno postanawiałem, ale moje postanowienie już z następnym dniem traciło na sile, aż po paru tygodniach zapomniałem o nim. Do następnego Sylwestra.

Siedziałem teraz na ławce niedaleko topoli, pod którą zakopałem Dropsa. Przez te wszystkie lata drzewa urosły i wypiękniały, chodniki za to straszły nierównościami. Jesienne popołudnie było ciepłe i słoneczne, lekki wiatr od czasu do czasu zaszeleścił liśćmi. Przyglądałem się potomkowi Dropsa, próbując sobie wyobrazić, z jaką rodziną mieszka. Obroża na jego szyi była porządna, sierść zadbana, lśniąca i puszysta. Nie wyglądał też na głodnego. Właśnie obwąchał następne drzewo, kiedy zbliżyła się do nas wysoka dziewczyna. Opatulona była w srebrzysty, zgrabnie skrojony płaszczyk z futrzanym kołnierzem i z takimi samymi elegancko postrzępionymi mankietami. Stukot butów na wysokich obcasach wskazywał na temperament i trudno było oderwać od niej oczy.

– Cezar – powiedziała do psa ciepłym altem. – Znowu chcesz mi uciec?

Pies pomachał ogonem, ale nie zbliżył się do niej, tylko dalej obwąchał topolę.

– Cezar, chodź tu. – Jej głos zabrzmiał już rozkazująco, ale nie wpłynął na zachowanie psa, który uniósł nogę, żeby obsikać drzewo. W tym momencie zadzwonił jej telefon. Piękna Dziewczyna wyjęła go z kieszeni i przystanęła przy mojej ławce. Przez chwilę słuchała uważnie tego, co ktoś miał jej do powiedzenia, a ja taktownie zacząłem czytać czasopismo, które miałem przy sobie.

Zwróciłem uwagę na artykuł o amerykańskiej dziewczynce zbliżającej się do pełnoletniości, a pozostającej w stanie rozwoju fizycznego i umysłowego na poziomie rocznego dziecka. Niektórzy naukowcy widzieli w jej przypadku ogromne znaczenie dla badań nad starzeniem się. Organizm małej Brooke Greenberg nie wykazywał żadnych uszkodzeń genetycznych ani anomalii chromosomowych, jej rozwój przebiegał jednak w ekstremalnie zwolnionym tempie. Pewien genetyk twierdził na tej podstawie, że jeśli znajdziemy powód tego zakłócenia, będzie to tak, jakbyśmy znaleźli świętego Graala. Biologiczna nieśmiertelność stanie się możliwa.

Uniosłem głowę i spojrzałem na świat. Słońce świeciło między domami, a niebo zrobiło się bardzo niebieskie. To one, elementy takie same od początków mojego życia, bez zmarszczek i łysiny.

– Odpierdol się – powiedziała Piękna Dziewczyna.

Zdziwiony odwróciłem się w jej kierunku, ale nie mówiła do mnie. Jej śliczne, pełne usta, pociągnięte czerwoną szminką zaciśnęły się. Wyłączyła telefon i włożyła go z powrotem do kieszeni. Przypominała mi Nie-Penelopę z ostatniej fazy naszego związku, która też malowała na czerwono usta i nie przebierała w słowach, kiedy była zdenerwowana.

Dziewczyna usiadła na sąsiedniej ławce dwa metry dalej. Właściwie opadła bezradnie; srebrzysty płaszczyk cicho zaszeleścił. Spojrzałem ukradkiem, ale miałem wrażenie, że i tak dla niej nie istnieję. Jeszcze do niedawna byłem przyzwyczajony, że ludzie zwracali na mnie uwagę, zwłaszcza kobiety. Powoli jednak jestem zauważalny dla coraz mniejszego kręgu, głównie pań po pięćdziesiątce. Piękna Dziewczyna była jeszcze bardzo młoda, ale makijaż powodował, że trudno było określić, czy ma dopiero dwadzieścia lat, czy może już trzydzieści. Do pięćdziesiątki miała jednak daleko.

Najwyraźniej walczyła z płaczem. Sięgnęła do kieszeni po paczkę chusteczek, przy czym jedna upadła jej na chodnik. Podniosła ją i wrzuciła do stojącego obok ławki kosza na śmieci. Sądząc po jej powolnych ruchach, zrobiła to machinalnie i poczułem do niej sympatię, że nie zaśmiewa środowiska.

Cezar podbiegł do niej i powąchał jej kolana, podciągając nosem płaszczyk. Poglaskała psa, ale była tak zamyślona, że nie wykorzystała okazji i nie zapięła smyczy. Potomek Dropsa pomachał ogonem, rozejrzał się na prawo i lewo, spojrzał na mnie, przekrzywiając głowę i pobiegł za małym białym pieskiem z sąsiedniego domu.

Piękna Dziewczyna znowu wzięła telefon do ręki. Nacisnęła parę guzików i czekała długą chwilę.

Starałem się nie podsłuchiwać jej rozmów, ale nie było to łatwe. Nie mogłem się skupić nad artykułem, choć sama wizja nieśmiertelności była przecież warta zainteresowania. Nie byłoby chorób, demencji, cukrzycy, Alzheimera, tego całego powolnego rozpadu ciała i umysłu. Ale co dalej? Jakie byłyby skutki dla społeczeństwa? Czy byłyby jeszcze potrzebne dzieci? I kto wtedy mógłby je mieć? No cóż, na tym etapie było to jak dzielenie skóry na niedź-

wiedziu. Matka Natura jest niezgłębioną zagadką. Poza tym dla tych, którzy wierzą w jej Stwórcę, problem jest mniej ważny: ciało może się spokojnie zmieniać w proch, bo ważna jest naprawdę tylko dusza. A ta, jeśli rzeczywiście istnieje, jest już nieśmiertelna.

Piękna Dziewczyna skarżyła się na życie. Ze staccata jej wypowiedzi mogłem się zorientować, że tkwi między dwoma mężczyznami, z których jeden, ten, z którym najpierw rozmawiała i raz nazwała Maksem, posunął się do szantażu. Piękna Dziewczyna była wstrząśnięta, mówiła podniesionym głosem, że nie wolno mu tego zrobić, i w końcu przerwała rozmowę, dzwoniąc zaraz potem do przyjaciółki.

– Kinga, ja już nie mogę – jęknęła.

Szantaż Maksa był intymnej natury i przerażał Piękną Dziewczynę. Z ociąganiem się, dość enigmatycznie, opowiadała o tym jakowejś Kindze.

– Dołek nic o tym nie wie. Za to Maks wie o mnie strasznie dużo – powiedziała, sama jakby się dziwiąc. – Przekręca moje zachowanie w taki sposób, jakbym była kurwą. Raz nocowałam u niego – spuściła głowę, spojrzała na krótko w moim kierunku i mówiła trochę ciszej – i on robił zdjęcia. Wtedy jeszcze nie znałam Dołka. Kiedy Maks mi je pokazał, kazałam mu je zniszczyć, i mówił wiele razy, że to zrobił. A dzisiaj. . . Nie, nie musisz wiedzieć dokładniej, o co chodzi! – uniosła głos. – Kinga, chyba masz trochę wyobraźni, co?

Przekręciłem stronę czasopisma, choć jeszcze nie doczytałem artykułu do końca. Nie wiem, czy chciałbym być nieśmiertelny, ale nie chciałbym jeszcze umierać. Staralem się nie myśleć o tego rodzaju przyszłości, choć w moim otoczeniu pogrzeby zdarzały się teraz nawet częściej niż śluby.

– Nie, nie zniosę tego dłużej. Zerwę z Dołkiem. Nie wierzę, żeby wytrzymał te zdjęcia, żeby mnie zrozumiał. – Głos jej się załamał, ale mówiła dalej. – Nie, to nie ma sensu. Nie powiem mu, rozumiesz? – Nastąpiła krótka przerwa. – Wiem, że jestem mu teraz potrzebna, czeka go ta cholerna operacja, ale nie potrafię już dłużej. Ten skurwysyn Maks, gdybym wtedy mogła przewidzieć. . .

Piękna Dziewczyna wstała z ławki i zrobiła parę kroków

w przeciwnym do mnie kierunku. Srebrzysty płaszczyk zagiął się na dole, ukazując krótką spódniczkę i kawałek ud. Widziałem jej plecy, teraz lekko zgarbione, bo nachylała się z telefonem w ręku w geście, jakby chciała go ochronić przed światem. Słów jej nie mogłem zrozumieć. Po chwili wyprostowała się i odwróciła do mnie. Patrzyła na topolę, przy której Cezar, machając ogonem, obwąchiwał białego pieska. Znowu usiadła na ławce.

– Nie mogę tak żyć, Kinga – powiedziała. – Ten facet mnie wykończy. Muszę do niego wrócić i zniszczyć te zdjęcia. Wtedy mi niczym nie będzie groził. Co innego słyszeć tylko plotki, a co innego zobaczyć; wiesz, jaką siłę ma zdjęcie, ciągle ci wchodzi przed oczy, szczególnie jeśli tego nie chcesz, w najmniej potrzebnych momentach. Muszę zerwać z Dołkiem. Maks go nienawidzi. Powiedział, że dałby mi odejść do każdego innego, ale nie do Dołka. Nie obchodzi go, że Dołek jest chory.

Zacząłem się zastanawiać, jaki powód może mieć facet, żeby nie dać odejść dziewczynie do konkretnego faceta. Generalnie może sobie odejść, ale nie do tego. Nienawiść? Musi go znać. Może nawet bardzo dobrze.

– Pewnie dlatego, że byli przyjaciółmi. Pokłócili się kiedyś, ale nie wiem o co. – Piękna Dziewczyna głęboko wciągnęła oddech. – Nie chcę wracać do Maksa, ale nie mam wyjścia, rozumiesz? Z Dołkiem wszystko skończone. – Wytarła nos. – Kinga, przecież to nic nie da. Jeśli zobaczy te zdjęcia, znienawidzi mnie. A tak to rozstaniemy się chociaż w inny sposób. . . Zdecydowałam się już. – Odgarnęła prawą ręką ciemne włosy z czoła, trzymając cały czas telefon przy uchu z drugiej strony. – Kinga, chyba musimy kończyć. Wydaje mi się, że widzę Dołka, właśnie wysiada z autobusu. No to pa.

Wstała szybko z ławki, schowała telefon do kieszeni i ruszyła w kierunku pętli autobusowej, zapominając o swoim psie. Widziałem wysokiego, chudego chłopaka, jak rozgląda się w obie strony, zanim przejdzie przez ulicę. Do niej. Jego charakterystyczny chód przypominał mi mojego syna. Przełknąłem z trudem ślinę. Wpatrywałem się w niego, aż zaczęły mnie boleć oczy. To był Antek.

Dziewczyna stanęła przed nim, zaczęła mówić coś i wymachi-

wać rękami, a chłopak słuchał. Odwróciła się i szybkim krokiem odeszła. Antek zawołał za nią, ale potrząsnęła tylko głową i przyspieszyła kroku. Naprawdę go zostawiła.

Siedziałem na ławce i nie wiedziałem, co mam z sobą robić. Podejść do Antka? Iść za dziewczyną, przedstawić się, zaoferować pomoc? Ale jaką? Nie miało to sensu.

Wreszcie wróciłem do domu. Nagle nie mogłem pojąć, jak to się stało, że nic nie zostawało z moich noworocznych postanowień, aby spotkać się z Antkiem. Ta dziewczyna opowiadała o jakiejś operacji. Co ze mnie za ojciec, jak mogłem żyć tak obojętnie, nie wiedząc nic o własnym synu! Czułem straszny ucisk w sercu. Gdybym tak miał jeszcze jedną szansę!

Zadzwoniłem do Nie-Penelopy, pytając o Antka. Dziwiła się, dlaczego nagle dzwonię. Jak kiedyś, znowu przyciskała mnie do muru, upierając się, że na pewno mam jakiś powód. Nie chciałem tracić czasu, więc powiedziałem, że byłem świadkiem rozstania Antka z dziewczyną i chcę wiedzieć, jak mu się wiedzie. Przede wszystkim, czy jest chory.

– To dziwne, że go widziałeś – odpowiedziała. – Rozmawiałam z nim dzisiaj, jest w Londynie ze swoim szefem, podpisują umowę handlową. Był zadowolony z życia, zachwycony Londynem. Jego dziewczyna pracuje ze mną i wiedziałabym, gdyby się rozstali. Własnego syna już nie rozpoznajesz – stwierdziła złośliwie.

Odetchnąłem z ulgą, a ona wzięła to chyba za skruchę.

– Jeśli chcesz, powiem mu, że dzwoniłeś i chciałeś się z nim spotkać – dodała pojednawczo. – Może uda wam się wreszcie nawiązać normalne kontakty. Antek co roku w Sylwestra wznosi za to toast i postanawia, że zadzwoni do ciebie. Nie wszystkie postanowienia doczekują się realizacji, ale czasem pomaga przypadek.

Spojrzałem za okno.

Na trawniku stała Piękna Dziewczyna z Dołkiem, a przy nich na smyczy Cezar, potomek Dropsa.

Sen o przeszłości

Joanna Gorzka

miała sen
i wtedy on przyszedł do niej
duch przeszłości
zapropozował zmiany
wyjechała z nim w daleki świat
nie skończyła szkoły
nie miała pracy
a on nie kochał jej naprawdę

obudziła się
obok stało dziecko
synek
uśmiechał się promiennie
był już ranek
niczego bym nie zmieniała
pomyślała
chodź synku
czas na śniadanie

Która żyje

Jan Stanisław Jeż

mojej matce

Tęsknię za ziemią rodzinną,
Za lasem pachnącym żywicą,
Za rzeką leniwie płynącą,
Za polem szumiącym pszenicą.

Tęsknię za kosą brzęczącą,
Za skibą lemieszem krajaną,
Za rosą porankiem błyszczącą,
Za piosnką wieczorem śpiewaną.

Tęsknię za wierzbą przydrożną,
Za smukłą brzozą srebrzystą,
Za sosną nucącą pieśń zbożną,
Za szarą topolą strzelistą.

Tęsknię za strzechą słomianą,
Za wąską drogą piaszczystą,
Za wioską nikomu nieznaną,
Za ziemią –
Moim istnieniem.

Naga prawda o drzewach

Beata Wołoszyn

ich krnąbrna zieleń
odchodzi
czerwona ze złości
niektóre sypnęły złotem
lecz pora to
nieprzekupna
teraz schną
pogrążone
w brunatnej rezygnacji
tylko iglaste
to drzewa wierzące
wątpiącym
liście
opadły

Półcienie

Anna Kargol

Artystyczne malujesz półcienie
Grą codziennych pośpiesznych spotkań
Myślą dotykając niepewien
Jej najmiłszą najbliższą ci postać
Papilarne linie z wahaniem
Znaczą czas jak maga zaklęciem
Kreślisz schematy zapisane
W stemplach wspomnień dawnych niechęci
Setki modlitw wieczornych o świetle
Zbierasz liczysz rozsypane paciorki
Przesuwając spod palca pod palec
Jakbyś tworzył nowe pamiątki
Zatrzymanych marzeń czas wskrzeszasz
Ożywiając na krótką chwilę
Wątpiąc czy na pewno zamieszkasz
W miłość wieczną po kres po mogiłę

Dom mojej babci

Agata Rak

pamiętam
wiekową rozłożystą jabłoń... chyba papierówkę
rzucającą cień na ganek
i słodki zapach szarlotki z cynamonem
zapraszający do wejścia
i starą kanapę z dzierganą kapą
ciągle ustrojoną w kłaczki sierści burego kota
i zdjęcie dziadka w mundurze kawalerzysty
nad kominkiem w saloniku
i delikatne jak koronka listki geranium
na oknie w kuchni
i... ciepły uśmiech babci
witającej mnie w drzwiach
pamiętam i... nie zapomnę

Rykoszet z kulą u nogi

Piotr Paschke

*Kolejny poemat wyjątkowo nieautentyczny
pamięci Marka Garbali poświęcam*

Marku, uwierz w to, że są większe nieba –
nie pogardzajmy więc małymi rzeczami,
także zbyt małą twarzą wrytą w skałę Prometeusza
– pamięć ucztuje niczym plemię kanibali.

Wyobrażam sobie, że
są większe morza (być to i może) –
tylko ręce zbyt małe, by na nowo ogarnąć i uchwycić przystań,
by piąć się swobodnie po korze wyzwań,
wypisach z dowodów nazbyt osobistych.

Marianna ponoć twierdziła kiedyś,
że istnieją wiele większe sezony wyznań –
śnia na powiekach, pozytywnie za życia widzialne,
– (wciąż tyle po ulicach szczytów do zdobycia),
że coraz dalej zgrabniejszym „bliżej”
do porozumienia języków,
translacji ciszy do oddychania,
zadziwienia ludzi rozmowną filozofią
i u progu zimy wstręt jak grafofobia.

Wyobraźmy sobie wspólnie, że są mniejsze pasaże –
budzi się słabo kojarzona szczelność,

jak modlitwa o wiersze zbyt długo pisane –
bliźniacze nasze blizny – oto tutaj miłość,
nowe ścieżki do lasu niestrawnej miłości,
nowy las,
karykaturalny las spotkań po
po –
powiedzieć czasem na przekór śladom stóp na piasku.

Gdzie, w takim po, zdajecie sobie sprawę z faktu,
że są wyższe rachunki za nieśmiertelność –
(ziemio, której się lękam, nie wyrrywaj pióra,
nie piszcz nade mną niczym ziołowa kuracja wątroby)
numer talentu, wyrzynane szczęście,
nowa wersja alfabetu, matematyczna kantylena,
i trygonometryczna miłość na korepetycjach

teatrów, parabola odejść ogromna –
mit Boga wciąż przekładany na rosyjski,
inne ustroje funkcyjne, euklidesowa misja po prostej jak rym
i pod siebie cały ten głupi testosteron.

Dzień po śmierci waszej
w dniu dzisiejszym nie odbędą się kursy walut –
tylko kra pod powieką coraz bardziej pęka;
więc jeśli Bóg pobłądził po mapach oceanów
trafiając na wyspę pomyślonych gwiazd,
po których jeszcze można chodzić,
będzie rozpaczal z nadzieją na ucho wszechrzeczy,
odwrócone do wewnątrz każdej wartości –
narodzi się kolejny poszukiwacz przyczyn.

A we Wrocławiu słońce zadaje niemą śmierć śniegom –
symboliczna blondynka lub jej wagina spod rajskiego drzewa
oczekująca matka podzielona na kilka odsłon
żywego bukietu z liści – próbna podróż w ciemny sceptycyzm,
błazenada myślenia o łatwym rozpoznaniu obcego miasta
dotyka językiem chwilowej miłości

której dzwony zamilkną w pejzażu.
(notatka: w północnych dzielnicach dla grafomanów dzisiejszego
ranka zabrakło chleba)
Zobacz, Marku, a my znów o wierszach!

Niespostrzeżenie tylko Najwyższy
wspomina coś o nas podczas nielicznych uśmiechów –
dobrze, że ostatni poganie tkwią w pochwałach życia i kolorów,
obowiązkowo eskalują banał,
dziela na niepokój i wydiedziczenie szklankę mocnej herbaty,
kiedy powietrze w waszych klatkach pachnie krochmalem,
a na powitanie zabarwia się nawet najmniejszy czas w pięści.

A płeć na ziemi – rudowłosa noc
omiata podwórko i stopy waszego terażniejszego więzienia,
bezsennie senna popelnia grzech naprawy świata
w takich sobie bitwach, z udziałem jednopiersiowych łuczniczek,
o pierwszej mgle ocala całe trzy grosze.

Śliska sprawa, wybrak na starych banknotach –
z przeszłości refleksyjnej,
z dorobku ustawionego na plecach psychozy
budujemy rajska bramę do innego światła,
by na ulicach znowu kochać wróble.

Snuliśmy senny raj, czekając
pozornie uśrednieni, niczym banalna piosenka
podzielona na znaki po każdej literze P.
(i nadal tak najzwyczajniej o wiersze,
wręcz zwyczajne pieprzenie o niczym).

Miłosierne bywa okno prawdziwej modlitwy
naszej najszczerzej, bo wciąż zielonej,
niczym słoń podpatrywany w łoży na koncercie –
– nasz tatuaż na otwartym sercu,
przestrojona w wieczorowej sukni wizytówka
najdroższej prostytutki z dalekiego ogrodu.

Zły nadchodzi wieczór –
w posolonych dłoniach trudno się przeglądać.

Marku, Marianno, ochronście (raz kolejny) moje usta
przed zbyt wielką dawką słowa.

Muszę Wam to powiedzieć –
przyszły dziwne czasy dla czucia i rozumu,
liryczny ktoś – nikt w kipiącym poemacie
i ekspres wrzątku odchodzącego planowo w doczesność,
w gwiazdy skruszone światłem
z głosów.

O, Wy, którzyście pierwsi napoczęli bochenek ciemności,
sypnijcie raz jeszcze sól pod moje pióro!

Hosanna

Katarzyna Mikołajczyk

chylę przed tobą czoła
staruszek na pasach w drodze do świątyni
wystukujesz łaską rytm mojego zwątpienia
w słuszność ładu i kolejność rzeczy

klaniam się tobie
walczący o jasność nieba ślepcze
widzący moje serce wyraźnie w konturach dłoni

i tobie się klaniam
który nie dostrzegasz dna myląc skrzydła
z uludą pomrocności płyniesz nie dostrzegając
wyciągniętych ku tobie rąk

a przed tobą przyklękam
psie bezdomny włóczykiu boży
co hosanny wymachujesz ogonem parszywym
na chwałę bez wiary w anioły

Viola z Alei Zapomnienia

Dawid Bartela

Idąc aleją zapomnienia
Wśród kwiatów
Szukam ciebie
Schowałeś się
W kolorach tęczy
Wyostrejając jej barwy
Ujrzałem twą twarz
W migającym świetle
Gwiazd
Zaznaczyłeś tor
Komety spadającej
Wyciągając dłoń
Pokazałeś szlak
O smaku ust malinowych
Twoich
Niech ta noc
Trwa w pocałunkach
Za księżycową zasłoną
Po poranek mglisty
W brzasku budzącego się
Słońca
Ranną rosą
W ogniu dotyku
Szybujemy
Wśród
Migających gwiazd
Na alei zapomnienia

Wieliczka, 11.08.2010

Jesteś człowiekiem

Anna Pełka

bo jesteś człowiekiem
i ludzki twój los
przeżyjesz swe życie
zastąpi cię ktoś
przeminiesz odejdiesz
zostawisz swój ślad
i będziesz wspomnieniem
przez dzień rok pięć lat
zapomną o tobie
zakurzy cię czas
dziś jeszcze nie wierzysz
przeżyje cię las

bo jesteś człowiekiem
i ludzki twój los
zapisuj do końca
mów słowa na głos
napawaj się życiem
od rana do zmroku
a potem wieczorem
ukołysz swój spokój
i zaśnij cichutko
a rankiem się zbudź
do marzeń i przeżyć
od nowa się rzuć

bo jesteś człowiekiem
i ludzki twój los
na pewno po drodze
wydarzy się coś
co doda ci siły
co porwie do gwiazd
nauczy mądrości
wyjaśni ci świat
ukoi przytuli
odgrodzi od zła
twą ludzką naturę
wypełni do dna

Mgławica czasu

Regina Orzechowska

zabrałeś tych
których niedokończone dzieła
spoczną w mgławicy czasu
ześlij deszcz pocieszenia
niech zakwitną kwiaty cnót
w pobliżu mogił
na skraju Katyńskiego Lasu
ogrzej osamotnione serca
okryj płaszczem miłosierdzia
postaw na straży Anioły Męstwa
wyślij gołębia pokoju
a promienie miłości
rozświetlą cały świat